Nr. 2. Lwów, dnia 1. Lutego 1888. Rok XI.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 frank. | WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA. | INSERATY przyjmują się po zwykłej cenie.

Polowanie na kozice w Tatrach

opisał

WŁADYSŁAW hr. KOZIEBRODZKI.

(Ciąg dalszy).

W Alpach ogromne podstawy olbrzymich szczytów zwykle zwolna zaostrzają się w górę i po tych przegięciach, na których już przebywają kozice, łatwiej wspinać się i przechodzić pogonce. U nas byłoby to stanowczo niepodobnem, aby w pewnym myśliwskim ładzie kilku choćby ludzi posuwać się mogło w poprzek któregokolwiek z naszych wyższych szczytów, co krok bowiem zatrzymywałaby ich turnia, przepaść. Wprawdzie Dr. Nowicki wspomina w swej monografii, iż z pogonką polują w naszych górach panowie po stronie węgierskiej i z ustnego podania powtarza opis tego polowania: „Naprzód gońce przepatrują góry i zachodzą kozicom drogę. Strzelcy rozstawiają się po szczerbinach i przełączkach grzbietu, w ogóle obsadzają wyższe miejsca, znane jako zwyczajne przesmyki chybkich kozic, panowie zaś zostają w dolinie (?) na zasadzce (?!) bo nie mogą ścierpieć zimna (?) i wstrzymać się od spania, gdy się napiją (!), dla tego też zostawiają przy sobie na wypadek pojawienia się kozicy jednego ze strzelców (?!). Gońce dają na znak, że są gotowi, przedewszystkiem hasło, czyli głośność, t. j. albo strzelają z pistoletów, albo też wołają: „Już! już! strzelaj! hybaj! waruj! ostrzegając tem strzelców bliższych, a ci dalszych i panów, aby wszyscy byli w pogotowiu. Potem gońce ruszają kozice osaczone i naganiają je ku panom i strzelcom, przyczem jeden krzyczy, drugi strzela i t. p., według umowy, jaką mieli między sobą; kozice gonione biegną na znajome przesmyki i zmierzają bądź ku szczytom, aby mieć na oku nieprzyjaciela, bądź w doliny, kiedy zbliżają się do strzelców w zasadzce; często strzelane umykają w limbinę i kosodrzewinę. Czy co ubito, czy nie, wszyscy gońcy i strzelcy schodzą się razem do panów, poczem następuje poczestne (!) lub narada, czy dalej polować, lub wracać do domu“. — W opisie tym widać, iż opowiadał go albo humorysta, albo że po stronie węgierskiej są okolice, nadające się do tego rodzaju polowania; w sercu Tatr, twierdzę stanowczo, iż byłoby to niemożebnem. Wprawdzie górale skrytostrzelcy polują w ten sposób, lecz polowanie to ogranicza się zwykle do dwóch myśliwych i już do w y p a t r z o n e g o z w i e r z a; jeden z myśliwych zaczaja się po za przesmyk, którym spłoszona kozica prawdopodobnie uciekać będzie musiała, drugi zaś zwierza nagania. Jest to więc raczej polowanie na zasadzkę, niż z pogonką, w całem myśliwskiem znaczeniu tego słowa. Jedynie możebnem polowanie na kozice w Tatrach jest więc na podchodnego, lub też na zasadzkę i myśmy tymi właśnie sposobami polować mieli.

Jak już wspomniałem, polowanie takie zaczyna się z pierwszym brzaskiem dnia, idzie bowiem o wypatrzenie kozicy, a jest to najtrudniejsze i najważniejsze zadanie.

Kozice żerują zwykle nad rankiem i wtedy chodzą po upłazach bądź pojedynczo, bądź kierdelami, nasyciwszy się idą zwykle na parę godzin na legowisko, a to przeważnie pod cień pionowej skały, albo w roztopy, jakie tworzą się między śniegiem a bokiem skały. Jeżeli jest kierdel, to zwykle jedna kozica czuwa nad odpoczywającemi, (a dzieje się to nawet wtedy, kiedy się pasą); straż ta wybiera zwykle miejsce wyższe, z którego widok jest obszerniejszy. Pojedyncza kozica nie odpoczywa nigdy zbyt spokojnie, często podnosi głowę i rozpatruje się z niedowierzaniem dokoła; zauważałem, że straż czuwa dopiero, jeżeli kierdel składa się przynajmniej z trzech sztuk, często bowiem spotykałem dwie kozice, ale w tym razie zawsze obie używały wywczasu. Przewodnicy więc nasi rozeszli się z brzaskiem, aby podpatrywać kozice, do czego potrzeba nie tylko prawdziwie sokolego wzroku, ale niesłychanej cierpliwości, wprawy i że tak powiem, jakiegoś osobnego zmysłu. Należy nie zapominać, że kozica jest wcale nieduża (w przecięciu do 4 stóp długa i do półtrzecia wysoka), a z doliny na upłaz bywa czasem wielka odległość, kozica też rysuje się zaledwie jak ciemna plamka na tle szarych granitów, lub zielonych trawników i taki to drobny przedmiot, często nieruchomy, dośledzić trzeba pośród olbrzymich skał, turni. Zadanie to prawdziwie budzi podziw, a bez wprawy i cierpliwości i sokole oko nic nie pomoże. Górale też, znający naturę kozic, już mniejwięcej od razu śledzą te upłazy, na których znajdować się mogą kozice i z dziwnym instynktem i wprawą ciemne te plamki, które wziąćby można za bryłę skały, lub otwór przepaści, rozpoznają od razu. Nieporównanymi pod tym względem byli Samek i Wala, bystrość ich wzroku, doświadczenie i wprawa budziły nie raz podziw całego naszego myśliwskiego kółka. Skoro pojedyncza sztuka lub kierdel wyśledzonym już został, to zadanie jeszcze nie skończone, bo trzeba śledzić dalej, pokąd kozice nie pójdą na legowisko; a i wtedy przekonać się jeszcze należy, czy spoczywają na dobre, czy też pokładają się tylko. Pierwszego dnia przewodnicy nasi powrócili z obfitem żniwem spostrzeżeń, wszystkich kozic tak pojedynczych jak i w kierdelach naliczyli 35 sztuk. Liczbę tę zapisuję jako dowód, że kozic w Tatrach jest więcej niż to twierdzą profesor Zejszner i Dr. Nowicki, a widzieliśmy wszyscy te kozice, lecz tylko przez wyborną lunetę, bo żaden z nas gołem okiem nie mógł odnaleźć ani jednej sztuki.

Od tej chwili zaczął się nasz udział w polowaniu. Podzieliliśmy się na pięć grup i każdy z nas z jednym przewodnikiem miał podchodzić kierdel lub pojedynczą kozicę. Ksiądz proboszcz z kilku góralami pozostał przy rzeczach i miał przez lunetę śledzić nasze wyprawy i posuwać się z całym obozem stosunkowo do naszego pobytu tak, aby wieczorem na znak dany przezeń wystrzałem, punkt zborny był mniejwięcej pośrodku nas wszystkich. Każdy z nas wziął z sobą trochę chleba, szynkę i manierkę z koniakiem. Tu muszę dodać uwagę dla wszystkich wybierających się w góry, iż do wypraw na szczyty żadna wódka nie jest tak pokrzepiającą, jak koniak. W skutek ruchu i rzadkości powietrza pragnienie wzmaga się silnie, a gaszenie pragnienia śniegiem lub wodą ze śniegu jest nietylko bezskuteczne, ale zarazem bardzo niezdrowe, parę kropel koniaku na śnieg lub do czarki z wodą nietylko gasi pragnienie, ale i wzmacnia. W Szwajcaryi na lodowcach przewodnicy mocno wzbraniają używania śniegu bez koniaku, a w wyprawie na Mont-Blanc między przepisami jest punkt ten przez lekarzy zastrzeżony.

Moim przewodnikiem był Krzeptowski i mnie przypadły w udziale trzy kozice, które legły na jednej z odnóg Grubego Wierchu.

Po wzajemnych życzeniach rozeszliśmy się wszyscy z dobrą otuchą.

Nie małe to zadanie podejść kozice; naprzód kozica jest niezmiernie czujną, a następnie niezmiernie płochliwą; sądzę, iż pod tym względem żadne inne zwierzę porównania z nią wytrzymać nie może. Miałem tego rozliczne dowody; wspomnę tylko o jednym z mego polowania na kozice w Trauenstein koło Gmunden. Nocowałem z dwoma przewodnikami pod samym szczytem w zagięciu skały; po wschodzie słońca jeden z przewodników moich powrócił uradowany donosząc, że niedaleko jest kierdel z pięciu sztuk na odległość strzału. Poszedłem za nim. Na brzegu olbrzymiej skały, nad stromą przepaścią, kazał mi się przewodnik położyć i ostrożnie spojrzeć w przepaść. Spełniłem jego rozkaz i zostałem zachwycony: u pionowego podnóża skały, na której leżałem, może na 60 stóp niżej, na niedużym odłamie, było 5 kóz. Jedna z nich stała na boku, patrząc dokoła i tupiąc od czasu do czasu nóżkami, dwie większe leżały pod skałą, liżąc się, dwie zaś mniejsze skubały trawę, podskakiwały, lub też igrały ze sobą. Długo oczu oderwać nie mogłem od tego prawdziwie alpejskiego widoku, bo zgrabne kształty kozic oblewał po części błękit niebios, a po części błękit bezdennej przepaści. Nigdy bliżej i dłużej nie widziałem kozic. Przewodnik mój jednak, który miał polecenie od Br. S., nadleśniczego, abym koniecznie ubił kozicę, odciągnął mnie, nagląc do strzału. Miałem wtedy dość ciężki pożyczony sztuciec i kiedy wziąłem go po cichu do ręki i z lekka począłem wysuwać, aby się do strzału złożyć, rozległ się przenikliwy gwizd, powtórzony kilkakrotnie, a kiedy spojrzałem na dół, już śladu po kozicach nie było — znikły, jakby w jakiem czarodziejskiem przedstawieniu Boska lub Hermana. Szelest tylko spadających kamieni zdradził ich zwinne skoki.

Kozice mają słuch przewyborny, a węch, czyli wiatr, jak nazywają górale, jeszcze lepszy. Cała więc sztuka w podkradaniu się pod kozice zależy na tem, aby wspinać się jak najostrożniej i jak najciszej i żeby zejść kozice z góry, gdyż węch mają z dołu tylko, mówiąc po myśliwsku, i z góry nie poczują prędko. Chcąc więc podejść kozice, należy wspinać się ku nim w dość wielkiej od miejsca, gdzie przebywają odległości, stosownie do kierunku wiatru i wdrapać się o wiele wyżej od nich, a następnie po cichu i z wielką ostrożnością zniżać się aż do dójścia na strzał.

W teoryi tej, na pozór tak prostej, są jednak niezwyciężone często przeszkody i nie małe niebezpieczeństwa. Trzeba niezapominać, że kozice przebywają głównie w najniedostępniejszych i najdzikszych turniach, pośród najspadzistszych skał, na wielkich wysokościach, słowem przebywają zwykle tam, gdzie prócz nich tylko jeszcze dolecieć mogą orły i sępy, a więc rzadko kiedy, szczególnie w naszych Tatrach, w których, jak to wspomniałem, szczyty bywają ostre, spadziste i nagie, pod kozice podejść można, łatwo zaś niepodobna podejść nigdy, trzeba wiele zużyć fizycznej siły, trzeba trochę wytrwałości, a przedewszystkiem trzeba mieć wolną od zawrotów głowę, to jest

trzeba umieć znosić widok przepaści. Ktokolwiek do zawrotu jest skłonnym, ten już stanowczo na kozice polować nie może.

Zanim wyruszyliśmy z obozu, dość długo przewodnik mój Krzeptowski szukał oczyma po Grubym Wierchu możebnych do drapania się w górę rozłamów skał, w końcu zdecydował się na ślizki upłaz, po którym sączyło się trochę wody z płaty śniegu, zwieszonej w pół szczytu. Żywność wziął Krzeptowski do swojej torby, ja zaś nie chciałem rozstać się ze sztućcem, który przewiesiłem przez plecy.

Była już siódma, zanim doszliśmy do spodu Grubego Wierchu i zaczęli wspinać się w górę. Z początku szło nam jakoś dość dobrze, bo choć ślizkie kamienie usuwały się nieraz z pod nóg i z hukiem spadały w przepaść, to jednak w zbyt wielkiej byliśmy od kozic odległości, aby to je spłoszyć mogło. Szliśmy jednak bardzo powoli, odpoczywając co chwila, a przytem upał się wzmagał. Koło dziesiątej dopiero doszliśmy do tej płaty śniegu, od której wypadało nam jeszcze wspinać się przynajmniej z 1.000 stóp, aby dójść po nad kozice. Posiliwszy się trochę i odpocząwszy, poszliśmy wyszukiwać dalszej możebnej ścieżki, ale przed nami dokoła były prostopadłe ściany granitów i zaledwie Krzeptowski znów wyszukał jakiś upłaz, po którym puściliśmy się w górę.

Upał wzmagał się coraz bardziej, a upłaz, którym drapaliśmy się, stawał się coraz pionowszym; odpoczywałem co chwila, do południa nie zrobiliśmy jeszcze ani pół drogi. Krzeptowski, który z niesłychaną zręcznością wspierał mnie i pocieszał, iż to pierwsze me polowanie, więc z czasem dopiero wprawy i zręczności odpowiedniej nabiorę, widząc, iż jestem rzeczywiście strudzony, a przytem, iż droga stawała się trudną i niebezpieczną dla nowicyusza, zaproponował mi, abym pozostał i czekał, on zaś miał pójść i wyśledzić, czy kozice, pod które tak niefortunnie skradaliśmy się, były jeszcze w tem samem miejscu, czy nie; w razie, jeżeli były, to miałem iść w górę dalej, w przeciwnym razie mieliśmy już zwolna powracać do obozu. Przystałem z chęcią na tę propozycyę i Krzeptowski z prawdziwą zręcznością i pospiechem kozicy zaczął się drapać w górę i wkrótce straciłem go z oczu. Ponieważ zamiarem moim jest stwierdzić fakt, że nie myśliwi amatorowie zdołają tępić w Tatrach kozice, lecz jedynie skrytostrzelcy-górale, muszę wyznać, iż usiadłszy wtedy na jakiejś szczerbie skały nad przepaścią, zwiesiwszy przez piersi sztuciec, który mi ciężył niesłychanie i w przepaść ciągnął i trzymając się rękami innych krawędzi skały, nie uważałem tej pozycyi swojej ani za przyjemną, ani za wesołą. Wielkim mi się zdawał ten czas, zanim nadszedł Krzeptowski, uszczęśliwiony więc pojawieniem się jego, z radością zgodziłem się na odwrót. Podług Krzeptowskiego kozic już nie było.

Umówiony sygnał, strzał, ściągnął nas wszystkich pod wieczór do obozu. Żaden z moich towarzyszy nie był odemnie szczęśliwszym, każdemu jakaś niefortunna wydarzyła się przygoda i nikt z nas nawet kozicy nie widział. Ksiądz proboszcz przygotował nam sowitą ucztę, a nie potrzebuję dodawać, że byliśmy przy dobrym apetycie; dla gastronomów wspomnę, iż jeden z górali przyprawił nam polędwicę po myśliwsku, ale nieporównanego smaku. Na jałowcowy rożen ponatykał płatów nie grubych mięsa i cieńszych słoniny węgierskiej i tak przeplataną masę obwiązał mocno sznurkiem i piekł przy ogniu kosodrzewiny. Słonina wsiąkła w mięso, które przydymione trochę, smakowało nam jakby potrawa jaka, przyprawiona przez Very-Vefoura. Przy szklankach gorącej herbaty powrócił nam humor i nadzieja lepszych w przyszłości sukcesów. Noc tę przespaliśmy trochę, ale nad ranem mróz dokuczył nam nie mało.

Z brzaskiem dnia znów przewodnicy nasi rozbiegli się na wypatrywanie kozic. Tym razem przypadły mi w udziale dwie kozice na Szczerbatej. Nabrałem już trochę więcej wprawy i koło dziesiątej wdrapałem się z Krzeptowskim do wysokości, na jakiej znajdowały się kozice. Krzeptowski długo bacznie rozglądał się dokoła i studyował pozycyę, a zoryentowawszy się w końcu zdecydował, iż należy nam z niesłychaną przezornością prześliznąć się przez szeroki na prawo upłaz, po za którego skałami były kozice. Przewiesiwszy strzelbę przez piersi, rozpoczęliśmy na czworakach powolną i długą drogę. Słońce piekło, kamienie gniotły, a my milcząc posuwaliśmy się na rękach i nogach, jakby cienie. Trzeba było czuwać, aby się najmniejszy kamień z pod nogi nie usunął, aby strzelba nie uderzyła o skałę. Przeszło godzinę pełzliśmy tak szczęśliwie, Indianie w pampasach nie skradają się ciszej do swych nieprzyjaciół. Cel stawał się coraz bliższym, gdy nagle z pod nogi Krzeptowskiego usuwa się spory kamień, leci i porywa drugi, oba razem porywają znowu dwa nowe, te cztery i lawina rośnie, dudni, huczy i tysiące kamieni leci w przepaść! Wszystko było stracone, usłyszeliśmy świst złowrogi i na 20 kroków dwie uciekające kozice, z rozpaczy strzeliłem za niemi. Nie było co dalej robić i powoli zaczęliśmy wracać do taboru. Około drugiej z południa usłyszeliśmy dwa strzały odległe, któryś z moich towarzyszy był zapewne szczęśliwszym odemnie. Wcześnie przy ognisku zeszliśmy się wszyscy, lecz bez zwierzyny; strzały, które słyszałem, były tak jak i mój strzał jedynie salwą pożegnawczą. Noc tę mieliśmy bardzo przykrą, gdyż zerwał się ostry wiatr zimny, który ciągle wiatr z ogniska zaganiał nam w oczy, kładliśmy się ciągle w innym okręgu od ognia, lecz wiatr zmieniał się ustawicznie, ognia jednak dla zimna niepodobna było zagasić.

(Dokończenie nastąpi).

Z UKRAINY.

Moje tegoroczne polowania na Ukrainie na ptactwo wodne i błotne wypadły nieszczególnie. Ależ bo ten rok był niezwykły, do żadnego z ubiegłych niepodobny, mnóstwo w nim kontrastów, tajemnic dla myśliwego zagadkowych. Skrzydlate tylko stworzenia, gdyby mogły mówić, powiedziałyby, dlaczego inaczej jak zwykle postępowały. I tak kszyków było bardzo wiele, ale nie siedziały, jak zawsze, na koszonych łąkach, czyli rudach, lecz na niezgłębionych trzęsawiskach, gęstą trzciną i łoziną porośniętych tak, że niepodobieństwem było dójść a choć czasem się tam dotarło,

to strzał był niemożliwy, bo zrywały się daleko. Rezultat był taki, że przeszłego roku zabiłem sztuk 386, tego roku zaś tylko 58. Dubeltów wcale nie było, znalazłem 8 sztuk.

Również z kaczkami działo się inaczej, jak każdego roku. Zwykle w jesieni rozpływają się między oczerety, podsuwając się czółnem rzadko można *coup double* zrobić, bo pojedynczo się zrywają, tego roku przeciwnie, niemal naprożno jeździło się między trzcinami, siedziały krociami na czystej wodzie w środku stawu, naturalnie o podjechaniu mowy nie było. Przeszłego roku zabiłem 112 sztuk, tego roku 21.

Gęsi dzikich bywało zawsze kilkanaście stadek na trzech dużych stawach z ogromnymi spławami, tego roku ani jednego; pierwszy to raz się zdarzyło, według pamięci najstarszych ludzi, rzecz niepojęta, gdyż nigdzie może nie ma lepszych miejsc do gnieżdżenia się, spławy niektóre po morgu i więcej obszaru, wierzbiną i oczeretem tak zarośnięte, że chyba tylko lis, a czasem wilk może się tam przechować. Mówili ludzie, że wielkie deszcze na wiosnę musiały gniazda pozalewać, ale to nie trafia do mego przekonania, bo naprzód spławów woda nigdy nie zalewa, jako pływających, wielka burza je posuwa tak, że gdzie dziś czółnem się jeździło, jutro już nie można, a powtóre w takim razie stareby zostały i parami się zrywały, jak to bywało nieraz, gdy je wypłaszały młode wilki, lisy, wydry, a najbardziej norki, rodzaj zwierzyny u nas prawie nieznany, zabiłem tylko jedną sztukę, ciemno kasztanowatą, dłuższą może jak kuna, na niskich nogach, ogon bardzo długi, jak u lisa obrośnięty, pyszczek z długą trąbką. Psy gonią je jak lisa. Otóż ani jednej gęsi nie widziałem przez parę miesięcy, dopiero bardzo późno, przy końcu Października, ogromnymi tabunami, po 30 sztuk i więcej zapadały w przelocie śród dnia, by odpocząć i posilić się na dalszą drogę. Na drugi dzień już ich nie było, o podjechaniu ani mowy.

Dropi także tego roku zupełny był brak, a wszakże to ich ojcowizna w poprzednich latach. Nie było wypadku, iżby jadąc nie spotkało się ich i nie urwało czasem, a tego roku przez kilka miesięcy mego pobytu widziałem tylko 3 sztuki. Niech mi kto ten dziwny rok wytłumaczy.

Przepiórek było bardzo dużo, ale także niezwykle późno można było spotkać nieopierzone i małe; przy końcu Września jeszcze widziałem takie, że strzelać nie warto było.

Ze słonkami działo się również niezwykle; można było przez kilka godzin chodzić w kilku myśliwych i tyluż psami, a zetknąć się ledwie z jedną, a najwięcej z 3. Nagonki na słonki Ukraina nie zna. Tak trwało do 10. Października, aż wreszcie dają znać, „szczo tych ptachów z dołhymy dziobamy, szo to ich panowe szukajut, je prepaść!“ Jedziemy tedy, i o dziwo! — tego w życiu mojem nie widziałem — co krzak, to słonka, a często dwie i trzy z jednego krzaka się zrywały. W lesie około 250-morgowym ruszyliśmy przeszło 100. Ale zawsze coś szczęśliwego ochrania zwierzynę. Wielce szanowny hr. Kazimirz Wodzicki w nieporównanych swoich zapiskach wspomina o Sylwance, że ona sprzyja lub niesprzyja myśliwym, jabym ośmielił się dodać, że ta Sylwanka najbardziej sprzyja zwierzynie. Ileż to takich wypadków, a byłem tego naocznym świadkiem, że dobry nawet myśliwy nie włożył ładunków do strzelby, kurków nie odwiódł, ładunki mu zwilgotniały i nie wypaliły, że mało było myśliwych, nie wszystkie stanowiska obsadzone i właśnie tamtędy przechodziła zwierzyna; lub też myśliwy patrzy na lewo, a zwierz tymczasem przemyka na prawo. Tym podobnych wypadków różnorodnych bardzo wiele. Widocznie urocza Sylwanka opiekuje się zwierzyną. Tak też działo się nam ze słonkami. Trzeba było dla nich szczęścia, że tego roku żołądź ogromnie zrodziła i zastaliśmy kilkadziesiąt ludzi zbierających ją, więc naturalnie wszystkie prawie słonki były już ruszone — dlaczego właśnie w dzień naszego polowania? — i ledwie do dziesiątej można było strzelać, a że trudny strzał w lesie, porośniętym gęsto krzakami, więc na przeszło 100 strzałów było ledwie 20 zabitych. Doświadczyłem to teraz, że słonka raz spędzona, nie da się już blisko podejść i daleko się porywa, a nawet piechotą ucieka. Ja strzelałem 18 razy, a zabiłem 7 sztuk, najwięcej śród innych myśliwych. Takich dni, obfitych w słonki, było 3, potem znachodziłem ledwie kilka.

Kuropatw u nas prawie nie ma, bo ogromna mnogość jest lisów, zresztą w każdej wsi wielu wojskowych, posiadających strzelby, polować im wolno wszędzie i nikt im strzelby odebrać nie może, nawet na swoim gruncie; gdy im kto psa ubije, płaci 100 rubli kary. Nawet z psami gończymi zjeżdżają do lasu i polują, nie pytając o pozwolenie.

Zajęcy z tych samych przyczyn bardzo mało, a o sarnie na Ukrainie chyba tylko wieść głosi.

Wilków było tego roku niezwykle wiele, na każdem polowaniu bito ich 3, 6, nawt 9, rozumie się z sieciami, kulec z kulcem zamkniętemi, puszczano na nich kilkadziesiąt psów gończych. Prawdziwy to był raj dla myśliwego, opisać go niepodobna; w niebie niema większej rozkoszy. Byłem na kilku takich polowaniach, zabiłem 3 stare wilki. Na ostatniem polowaniu w Liszczyńcach u pana A. zamknięto 7 wiorst lasu własnemi sieciami, porachowano 14 wilków, ale niestety, miła Sylwanka się niemi opiekowała, lało jak z cebra, 6 wilków ubito, a reszta przedarła się przez sieć, bo chłopi, a było ich 600, zamiast stać pod sieciami, pochowali się pod rozłożyste drzewa.

Muszę w końcu zaznaczyć, że na Podolu rosyjskiem, w powiatach z Galicyą graniczących, już zaczynają właściciele większych posiadłości szanować zwierzynę, z nagonką tylko polować i do kóz nie strzelać. Byłem na kilku niezłych polowaniach, n. p. w Łysowodach u pana Z. w dwóch dniach padło 102 sztuk, między niemi 4 rogacze, 12 lisów, 1 dzik, reszta zajęcy. I u nas w wielu miejscach lepiej nie idzie. Strzałów było przeszło 400. W Jaromirce u pana S. padły 3 wilki i 1 dzik; w Holnisznowie u pana L. prowadzono nagonkę wzorowo, na losach stanowisk było wydrukowane: „uprasza się kóz nie strzelać“, a gdy jeden z młodych myśliwych niebacznie zabił kozę, natychmiast dał na straż leśną 25 rubli. Tam zwolna rozszerzy się zwyczaj szanowania zwierzyny, zaniechania psów gończych. Niestety o Ukrainie powiedzieć tego nie można, strzela się tu w każdej porze, co pod lufę podpadnie.

W. B. M.

Geografia łowiecka.

Broń myśliwska i sposoby polowania

przez

Dra J. FOICHTINGERA.

(Dokończenie.)

Takie suszone mięso zowie się na północy Pemikam, na południu Tassaio. W Europie owa metoda nie da się zastósować. Promienie słońca nie dosięgają u nas takiej wysokości, aby mięso szybko ususzyć, przedtem następuje rozkład i zgnilizna. Pemikam daje korzyść koncentrowania w małej objętości nader trwałego przedmiotu pożywienia. Łowcy i żeglarze polarni używają modyfikacyi jego z wielkim pożytkiem. Rozbija się bezkostne, wysuszone mięso, mięsza z tłuszczem i utartym chlebem i zamyka hermetycznie w blaszanych puszkach. Cukier, korzenie, herbata i koncentrowany rum stanowią dodatek. $2^1/_2$ do 3 funtów takiego pożywienia daje zdrowemu człowiekowi tyle krwionośnych substancyi, że przez dzień cały wszelkim trudom arktycznego klimatu może się poddać. Gdy pies dostaje w przeciągu 24 godzin funt pemikamu jako pożywienie, może przez dzień cały 100 do 150 funtów ciągnąć. Pemikam ma znaczną przewagę nad pekelflajszem. Przez peklowanie przechodzi, według Liebiga, jedna trzecia część aż do połowy soków mięsnych, w juchę solną, w której traci wszelką użyteczność. Również przy warzeniu mięsa absorbuje woda taką samą ilość substancyj pożywnych, ale tu mogą one przynajmniej jako zupa być pożytecznemi, gdy przeciwnie jucha solna nie daje żadnych korzyści. Pekelflajsz jest przeto niezupełnym środkiem pożywienia i głównym powodem szkorbutu. Łowiectwo sięga pod każdym względem w zakres życia ludzkiego. Dwie najracyonalniejsze metody przyrządzania mięsa: pieczenie i suszenie, zawdzięczamy myśliwym. Metoda Indian, jakkolwiek na pozór prosta, jest jednak pięknym rysem bystrości umysłu i zmysłu wynalazczego, jako też należytego spożytkowania naturalnych sił pomocniczych. W arktycznych i podarktycznych sferach podlega głównie mięso łosia i rena wyżej opisanemu przyrządzaniu, więc będzie odpowiednie miejsce dać niektóre szczegóły o tych ciekawych zwierzętach, gdyż oba, a szczególnie drugie, różnorodnie i stanowczo wkraczają w warunki życia mieszkańców polarnych krajów. Dwa te zwierzęta uzupełniają i zastępują się nawzajem, gdzie bowiem nie ma łosia, tam jawi się ren. Niezgrabne to zwierzę, którego rogi mają często wagi 60 funtów, nadspodziewanie żywo się porusza Za czasów jeszcze Karola XI. służyły reny w Szwecyi do wysyłek nagłych i przebywały w jednym dniu 36 mil szwedzkich. W Europie żyje ren obecnie tylko w lesistych południowych prowincyach Szwecyi, na wschodzie Norwegii, w Rosyi, Litwie i niektórych okolicach wschodnich Prus. Najliczniejszym jest w Ameryce od Hudsonsbay aż do cichego Oceanu i tam zowią go myśliwi Muse albo Moose. Zwierzę to daje się ubijać na lądzie z wielką trudnością, z powodu szybkiego biegu, bystrości wzroku i powonienia, w wodzie jednak, gdy od moskitów szuka schronienia, bardzo łatwo.

Ren stanowi jadyne źródło zarobkowania i wyżywienia całych pokoleń, a jest to tem dziwniejsze, że ani Indyanie, ani Eskimosi lub Lapończycy nie umieli go zamienić w właściwe zwierzę domowe, jakkolwiek on dostarcza im pożywienia, ubrania i środków do zmiany miejsca pobytu. Nigdy nie stoi w stajni i zawsze sam sobie szuka paszy.

Między przeżuwaczami ren najbardziej sięga ku północnemu Oceanowi, dalej nawet jak bizon amerykański. Najdalej ku północy pojawia się w Rosyi, czasem w zimie jeszcze gromadnie pod 60 stopniem szerokości. Południową granicą dla niego w Ameryce jest południowa Kanada i New-Fundland. Nie da się dziś jeszcze z całą pewnością zbadać, czy dalekie wędrówki na lodzie, jakie to zwierzę ma przebywać, zgodne są z prawdą. Wielokrotnie już utrzymywano, że na lodzie dostaje się ren z Ameryki do północno-wschodniej Syberyi, a nawet do gór lodowatych. Norwegscy myśliwi nie pozwalają sobie zaprzeczyć, że ren w każdym roku na wiosnę lodami aż do gór lodowatych wędruje. Tam pasie się na rozległych halach Bel-Sund i Is-Fiord, na Halis-Sund i Hinlopen, gdzie corocznie dwa do trzech tysięcy z ręki myśliwych pada. Oddalenie Nowoi Zemli od wschodnich brzegów gór lodowatych wynosi około 500 mil morskich, a tak daleka wędrówka po lodzie musi tak długo pozostać przypuszczeniem, aż niezbite dowody będą przedłożone. Pewną wszakże jest rzeczą, że sybirski ren co roku daleką wędrówkę podejmuje i bez wahania drogę karyjską, 28 mil morskich szaroką, przekracza. Tak jak odnogi morskie, tak też najbystrzejsze wody leśne, lodowce i głębokie bagna nie wstrzymują pochodu rena. Z tych wszystkich powodów są łowy na rena niezmiernie mozolne. Stanowisko zwierza nie da się łatwo wyśledzić, przesmyki i tropy z trudnością zbadać; podkradać się należy często przez bezdenne bagna, głębokie jary i strumienie, albo po ostrych kamieniach, przez góry śnieżne i groźne lodowce. Ubite zwierze bywa przez norwegskich myśliwych na jakiś czas wystawiane na powietrze i w beczkach peklowane. Mięso jest śród lata nader tłuste, soczyste i smaczne, również z niego wygotowana zupa. Ozor, serce i nerki uważane za przysmak, jako też kości wydrążone. Te pieką się i rozłupują, w celu otrzymania rdzeni (szpiku). Ubita sarna musi być natychmiast wypatroszona, w przeciwnym bowiem razie mięso nie da się użyć. Samica rena odbywa pomiot w Czerwcu. Do końca Lipca jest ren chudy, mięso jego twarde i suche, dopiero w późniejszem lecie osadza się na 2 lub 3 cale gruby tłuszcz. Żerem rena w tej porze są grzyby, delikatne trawy i rośliny listne, a czasem też łowi on lemingi. Chętnie szukają reny moczem przesiąkły śnieg i ludzkie exkrementy. Skoro tylko człowiek wychyli się z namiotu, aby swobodnie odbyć naturalną potrzebę, widzi się otoczonym jakby kołem czarodziejskiem leśnych rogów. Niezgrabne to zwierzę nader jest rącze i wytrwałe. Ciągnie ono lekkie, na jedną osobę zbudowane saneczki z szybkością 25 stóp. Według tego rachunku możnaby takiemi saneczkami w jednym dniu przebyć 48 mil niemieckich, ale w istocie rozmierza się owa

przestrzeń przeciętnie na 15 mil. Samica rena daje nie wiele mleka, ale nader smaczne i pożywne, a tak gęste, że nie rozcieńczone tylko w małej ilości może być spożywane. Masło nie da się użyć, bo czuć go smrodliwym tłuszczem, ale ser smaczny, tłusty i soczysty. Ziegler nazywa go trafnie daktylem lapońskiej puszczy. Z serem renim w torbie przebiega Lapończyk i Eskimos stepy północne, jak Arab z małym zapasem daktylów Saharę. Sposób zarzynania rena polega na tem, że wbija się nóż w serce i pozostawia go w niem, aż je krew zaleje. Krew z solą daje wyborne kiszki. Szynki, ozory i łopatki rena zdobią wystawy handlów w Sztokholmie, Hamburgu, Berlinie i Nowym Jorku, skóra służy Lapończykowi i Eskimosowi za ubranie, przykrycie, uprząż, siodło, sznury i nici, z kości jego wyrabiają narzędzia, a z kopyta wygotowują klej. Żadne inne zwierzę nie daje tyle pożytku w myśliwstwie i trzodzie, jak ren, a życiu pod północną szerokością tyle właściwego charakteru i barwy.

Równie prawie wyłącznie łowiectwu oddani, ale z powodu niewłaściwości ziemi i klimatu bardzo różniący się od swych arktycznych współbraci, przedstawiają się nam Indyanie amerykańskich Stanów Zjednoczonych, jako prawdziwe typy indyjskiego ludu. Ziemia, którą od niepamiętnych czasów zamieszkują, była niegdyś terenem łowieckim bajecznej wydatności. Jeszcze w roku 1781 miała zdobycz wszystkich pokoleń indyjskich północy wynosić w samych tylko bawołach 270.000 sztuk. Pomalowany, różnorodnemi figurami obszyty płaszcz bawoli, uważany dziś jeszcze jako najdostojniejsze ubranie mężczyzny, skóra bawola służy za posłanie, otwory wigwamów (chat) zamknięte są skórami bawolemi, a Indyanie utrzymują, że dzielni myśliwi i wojownicy na zielonych przestrzeniach pozagrobowych nieskończończonemi łowami na bawoły będą ucieszeni i nagrodzeni. Myśliwi wszystkich tych pokoleń strzelają wybornie z łuków i dziś jeszcze noszą na wyprawach łowieckich i wojennych na plecach obok strzelby łuki i strzały. Gdy Hiszpanie wylądowali u brzegów Ameryki, spotykali Indyanów uzbrojonych w tak potężne łuki, że strzały ich przebijały kolety i misiurki. Najważniejszą bronią, używaną tylko do celów wojennych, jest tomahawk, czyli rodzaj kordelasa. Idzie on wraz z wojownikiem lub naczelnikiem do grobu, pogrzebany jest symbolem najuroczystszej przysięgi, przymierza i wrogiej nienawiści, tak jak fajka pokoju i pojednania. Fajka (calumet) sięga głęboko w życie prywatne i publiczne Indyanina. Przy każdej naradzie, w każdej łowieckiej czy wojennej wyprawie, przy zawarciu przyjaźni lub pokoju, obchodzi ona w koło, każdy pociąga z niej, w celu wywołania wielkiego ducha, jako świadka szczerości myśli. Materyałem fajki jest czerwony kamień, który wszystkie indyjskie pokolenia biorą z olbrzymiego kamieniołomu u południowego stoku Catan des Prairies, miejscowości pełnej bajecznych podań, w której według mniemania Indyan, wielki duch pierwotnie utworzył czerwonego człowieka z czerwonej gliny. Miejsce to święte i neutralne, kamień sam nosi słodko brzmiącą nazwę: Tschandih-pak-scha-ka i nie może, zgodnie z przykazaniem wielkiego ducha, na żaden inny cel być użytym, jak tylko na wyrabianie kalumetu. W ostatnich latach często wymieniani Sioux są obecnie właścicielami łomów i sprzedają glinę wszystkim pokoleniom w wysokiej cenie. Znanym i dziwnym, bo odrębnym zwyczajem indyjskich wojowników jest skalpowanie ubitego wroga. Przytłacza przytem jedną nogą ciało zabitego, chwyta włos u głowy, silnie obmotuje go w lewej ręce i wycina jednem kulistem cięciem na czaszce górną skórę, wraz z pękiem włosów, właściwym skalpem, jako oznakę zwycięstwa, wołając przytem: sa-sa-knon. W całości nie daje broń łowiecka indyjskich pokoleń Stanów Zjednoczonych nic wielce ciekawego. Więcej zwraca uwagi Bola, czyli kula rzutna, rodzaj lasso, jakiej południowi Amerykanie używają. Służy ona jako broń myśliwska i składa się z rzemieni, 4 do 5 stóp długich, u jednego końca z sobą związanych, a na wolnych końcach kulami opatrzonych. Mniejsza kula u dłuższego rzemienia bierze się w rękę, wszystko okręca kilka razy około głowy i wyrzuca z siłą. Kule obwijają się około nóg zwierzęcia i powalają je. Pewna przestrzeń rzutu wynosi 100 kroków.

Broń ludów Azyi, Afryki i Australii jest wprawdzie bardzo różnorodną, ale w ogólności wspólną wszystkim ludziom w stanie natury żyjącym, czy to w celu myśliwskim lub wojennym. Istotną właściwość posiada rzadko która, taką ponad inne jest maczuga rzutna, Bevisi Australczyków. Wyrobiona ona z krótkiego, twardego, ciężkiego drzewa i ma u jednego końca w ogniu hartowane guzy. Ciskają ją z całą pewnością na nieprzyjaciela, na bieżące i latające zwierzęta. Na mniejsze zwierzęta używają w podobny sposób kija rzutnego *(Tauk)*. Najbardziej charakterystycznym jest kabłąk rzutny, dobrze znany Bumerang. Właściwy on wyłącznie australskiemu kontynentowi i według Spechta ma tylko coś odpowiedniego w greckim diskus i galickim Cateja. Jest to na 15 do 36 cali długie, w środku 2 do 3 cali szerokie, około pół cala grube, płaskie, na wzór sierpa wycięte drzewo z bukszpanu. Zewnętrzny rąbek jest zaostrzony, jedna strona płaska, druga zaokrąglona. Noszą to narzędzie u pasa i wyrzucają tak, że wzlatując w powietrze kręci się w koło. Bumerang działa albo swem ostrzem lub swemi dwoma ostrymi końcami, a donośność wynosi 100 kroków. Jeżeli się go nie wyrzuca do pewnego celu, to powraca w przybliżeniu, coraz się bardziej zniżając, ku właścicielowi. Głównym warunkiem przytem jest, aby rzut nastąpił pod kątem elewacyi 30—45° i aby nadana mu pierwotnie siła ruchu była słabszą, jak ruch kąta. Grot myśliwski Australczyków wyrobiony jest zwykle z trzciny, aby był jak najlżejszym. Mogą to uczynić, bo ich świat zwierzęcy nie wiele stawia oporu. Ostrze sporządzają z kamieni, muszli, kości lub zębów wielorybich i obwijają je aż do czasu użytku starannie osoką. Rzut jest pewny na 150 do 200 kroków i następuje na 60 kroków z ręki, dalej zaś za pomocą sztucznie przyrządzonego kółka, którym grotowi nadają większą siłę rzutu. Nadużylibyśmy cierpliwości czytelników, gdybyśmy chcieli dalej wyliczać bez końca wszelkie modyfikacye proc, łuków, maczug, włóczni, jakie u mieszkańców żyjących w stanie natury, wszystkich kontynentów, jako narzędzia łowieckie są używane. Nadmienić jeszcze chyba należy o podziwienia godnej zręczności mieszkańców wysp Sandwichskich w używaniu proc. Trafiają nią ptaka w locie nawet, a na 150 kroków chybiają rzadko najdrobniejszy przedmiot. Niemniej podziwienia godną jest zręczność władania włócznią. Król Tamehamehah kazał równocześnie 6 grotów ku sobie rzucić i żaden go nie trafił. Trzymał w lewej ręce własną swoją dzidę, którą 2 groty parował, trzy schwycił prawą ręką w powietrzu, od szóstego uchylił się zręcznym zwrotem ciała.

Jeżeli zbierając w jedność rezultaty naszych spostrzeżeń, rozpatrzymy cały arsenał najróżnorodniejszych, a jednak w większej części w zasadzie podobnej sobie broni łowieckiej różnych ludów, to jakiż tego może być inny skutek, jak umocnienie naszego zachwytu dla sprawy łowieckiej i oddanie się jej. Geografia łowiecka w swych początkach, o ile daje porównawczy przegląd różnorodnej broni myśliwskiej, jest najpewniejszą podstawą przyszłej filozofii łowiectwa. Dalsze żywioły dla niego może każdy wykształcony myśliwy z swego własnego doświadczenia zebrać. Jeżeli jest głównem zadaniem cywilizacyi, świat zwierzęcy poddać na użytek ludzi, to przy tych usiłowaniach gra myśliwy wcale nie podrzędną rolę. Myśliwstwo jest najniezbędniejszym wstępnym warunkiem przyswojenia zwierząt i hodowli bydła w ogólności, staje się nadto ważnym czynnikiem ekonomicznego ukształtowania społeczności ludzkiej. Miliony ludzi żyją dziś jeszcze z dochodów łowieckich. Sam export zębów słonia do Anglii wynosi rocznie 622.000 funtów. W Dieppe znajduje się 11 fabryk artykułów z kości słoniowej, a handel żywymi słoniami jest główną gałęzią handlu z Azyą i Afryką. Koszta jednego żywego, do Europy sprowadzonego słonia dochodzą przeciętnie 1000 funtów szterlingów. Łowy na futra jakoteż wodne krajów polarnych, wprowadzają olbrzymie kapitały w obrót, żywią setki tysięcy ludzi, czy to wprost, czy też ubocznie i dały najsilniejszy popęd do dotarcia w te lodowe i nocą okryte puszcze. Tak więc łowiectwo przysłużyło się celom umiejętności w tym jakoteż w wielu innych wypadkach. Zoolog jakoteż porównawczy anatom opierają się w części na myśliwym, dostarczenie największej liczby zwierzęcych środków leczniczych przypada łowiectwu, a najlepszy olej maszynowy, a także chód naszych nader sztucznych chronometrów, jest zapewniony przez łowy na ogromne wieloryby. Moglibyśmy wiele nagromadzić przykładów w celu stwierdzenia wysokiego znaczenia łowiectwa, gdybyśmy nie byli pewni, że wykształceni nasi myśliwi takich dowodów nie potrzebują. Wszakże każdy prawdziwy myśliwy szczerem przejęty jest zamiłowaniem do swego zawodu, a jego tryumfy w lesie i w polu najlepszą są apologią łowiectwa. *tł. J Ł.*

W sprawie reformy Ustawy łowieckiej.

(Dokończenie.)

Większej o wiele doniosłości jest przepis następnego §. 16, zakazujący polować w niedzielę i święta wyznań chrześciańskich, doniosłości, o jakiej nie myśleli wcale autorowie projektu. W obecnem atoli brzmieniu zakazuje on n. p. w zachodniej Galicyi polowania w dnie, które tam w śród ludności obrządku rzymsko katolickiego powszechnie za robocze uchodzą, ponieważ one są świętami wedle obrządku grecko-kat. ba nawet święta obrządku gr.-oryent. Jakkolwiek małą jest garstka wyznawców tego obrządku w naszym kraju, musiałby myśliwy uszanować ich święto i jeszcze wypadałoby dziękować protestantom, że oprócz „Busstagu“, gdzieś w lecie przypadającego, nowych oddzielnych świąt nie ustanowili. Ciekawem jest także to, że w miejscowościach, gdzie n. p. nie ma kościoła gr. kat., w święta tegoż obrządku nawet i bez obławy nie możnaby zgoła polować, albowiem tam nie możnaby wiedzieć, kiedy się przedpołudniowe nabożeństwo skończyło. A jak n. p. w górach, gdzie lasy o kilka mil od osiadłości są oddalone, może myśliwy skonstatować, kiedy się skończyło nabożeństwo przedpołudniowe i kiedy mu wolno zacząć polować? A wreszcie cóż się dzieje, jeśli się ten przepis przekroczy? Czyli podpada się w takim razie karze 5 do 50 zł., ustanowionej w §. 68 na polujących w czasie zakazanym, który się odnosi naszem zdaniem tylko do przekroczeń ustanowionego w §. 31 czasu szanowania zwierzyny użytecznej.

Wszystkie te kwestye, nasuwające się z powodu pomienionego zakazu polowania w niedzielę i święta, pozostawia projekt bez odpowiedzi. Co zaś do samego zakazu, trudno dociec, jakie względy powodowały autorów, aby go umieścić. Trzeba chyba przypuścić, iż uważają oni polowanie za rzecz tak sprośną i niereligijną, iż starali się zapobiedz, o ile się tylko da, rozpowszechnieniu tego, zdaje się tak szkodliwego sportu. Albowiem jasną jest rzeczą, iż przez zastosowanie tego przepisu, dla wielkiej liczby myśliwych staje się polowanie niemożliwem, a mianowicie dla wszystkich tych, którzy będąc w dnie powszednie w swoim zawodzie przywiązani do biurka, do kantoru i t. p., tylko niedzielę i święta mogą owej przyjemności, względnie tutaj sportowi łowieckiemu poświęcić. W skutek tego zabrakłoby św. Hubertowi wielu zwolenników, którzy co do zamiłowania i znawstwa rzeczy w niczem nie ustępują tym, którym ich korzystne socyalne położenie pozwala polować i w dnie powszednie. Najdotkliwiej dałby się we znaki przepis ten wszystkim tym, którzy nie posiadają własnego polowania, bo polowanie w niedzielę i święta na własnym obszarze jest wprawdzie zabronione, atoli na przekroczenie tego przepisu nie ma kary ustanowionej, albowiem w skutek wadliwej stylizacyi §. 68, który ustanawia, iż kto w niedozwolony sposób (§. 15 i 16) poluje na o b c y m obszarze, podpada karze od 5 do 50 zł., tylko polowanie w niedzielę i święta na obcym obszarze podpada karze, na własnym zaś wprawdzie polować nie wolno, ale polujący nic nie ryzykuje.

Czyli to faworyzowanie właścicieli ziemskich jest tylko usterką legislacyjną z rzędu tych, któreśmy poprzednio omawiali, czyli też było z góry zamierzonem, nie jesteśmy w stanie rozstrzygnąć, lecz widzimy, że gdyby druga ewentualność zachodziła, to wypadałoby w motywach przecież cośkolwiek powiedzieć o powodach, które skłoniły autorów projektu do zrobienia tej różnicy.

Nie będziemy się tu rozpisywać szerzej o zgubnych skutkach tego zakazu polowania w niedzielę. albowiem musielibyśmy powtarzać to, co już w poprzednich artykułach o ankiecie łowieckiej i projekcie powiedziano. Jedną tylko tu uwagę umieścimy, która się nam w tej mierze nasuwa, mianowicie wątpimy, czyli zakaz polowania w niedzielę w ogóle powinien się mieścić w ustawie łowieckiej. Zdaje się nam, iż zarządzenie takowe przekracza właściwy zakres tej ustawy i należy do innej gałęzi ustawodawstwa, nie należącej do kompetencyi Sejmu.

Jeżeli już powyższy zakaz polowania w niedzielę, wywołując zmniejszenie Towarzystw myśliwskich, dzierżawiących polowania gminne i składających się przeważnie z myśliwych,

nie mogących po za niedzielą polować, przyczyniłby się do zniszczenia polowań gminnych, to przepisy ustawy, tyczące się sposobu wydzierżawiania tych polowań są tego rodzaju, iż gdyby one weszły w życie, opłakany stan naszych polowań gminnych jeszczeby się nieskończenie pogorszył. Taki zgubny skutek wywarłoby mianowicie rozporządzenie §. 20, oddające ustanowienie ceny i warunków dzierżawy zwierzchności gminnej, jako też stojące w związku z tem dalsze paragrafy.

Wiadomo każdemu, jakiego rodzaju jest działalność tych organów autonomicznych, zwłaszcza w mniejszych wiejskich gminach, jak ciasny widnokrąg intellektualny ludzi, składających te zwierzchności gminne, jak mało rozwinięte w nich poczucie obowiązków i właściwych potrzeb gminy, którą kierują. Nie ma więc żadnej wątpliwości, iż w warunkach dzierżawy, przez zwierzchności gminne składanych, nie jedno postanowienie nie będzie odpowiadać warunkom ustawy i racyonalnej gospodarki myśliwskiej. Wprawdzie przyznaje cytowany paragraf wydziałowi Rady powiatowej prawo badania tych warunków dzierżawy i czynienia uwag, poleca im nawet na wypadek, gdyby cenę ustanowioną przez zwierzchność gminną uznał za nieodpowiednią, przez znawców zarządzić sprawdzenie rzeczywistej wartości polowania, porucza wreszcie zatwierdzenie warunków licytacyjnych powiatowej władzy politycznej, lecz wszystkie te kautele są zdaniem naszem niedostateczne, a przedewszystkiem nie jest unormowane ważne bardzo pytanie, czyli i w jakich wypadkach władza polityczna warunkom przez zwierzchność gminną ustanowionym zatwierdzenia odmówić może, co się w razie takiego odmówienia zatwierdzenia dalej powinno stać, o ile przy zatwierdzeniu warunków władza polityczna powinna uwzględniać uwagi poczynione przez Wydział powiatowy. Brak uregulowania tego ostatniego punktu tem jest dotkliwszym, iż projekt nakłada na Wydział powiatowy obowiązek trutynowania warunków dzierżawy przez zwierzchność gminną przedłożonych w jednym przynajmniej kierunku, t. j. co do ceny. Jeżeli obciąża się fundusz powiatowy ewentualnymi kosztami badania rzeczywistej wartości polowań gminnych wydzierżawić się mających, (w obec tego, iż nie jest powiedziano, kto te koszta ma ponosić, zdaje się wynikać, iż takowe przez Wydział powiatowy z funduszu powiatowego pokryte być mają) — to wypadałoby obmyśleć sposób, aby te koszta nie były w wodę rzucone i aby władza polityczna wynik dotyczących dochodzeń odpowiednio uwzględniła. Z drugiej zaś strony narzuca się nam pytanie, dla czego tylko w razie nasuwających się wątpliwości co do ceny polowania upoważniono Wydział powiatowy do zarządzenia badań przez znawców. Czyż i co do innych warunków przez zwierzchność gminną zaproponowanych nie może mieć Wydział powiatowy wąpliwości, które jedynie tylko przez znawców na miejscu usunięte być mogą? A takie uboczne warunki mogą być nie raz nader nieodpowiednie, a nawet stanąć na przeszkodzie wydzierżawienia dotyczącego polowania gminnego.

W ścisłym związku z tu omówionym §. 20 stoi §. 23, normujący co się ma stać, jeśli wydzierżawienie polowania przy pierwszym terminie nie przyjdzie do skutku. Nie możemy się tu zgoła zgodzić na przepis, iż w takim razie cena wywołania powinna być o 25% zniżoną. Rozporządzenie to jest zupełnie dowolne, albowiem nie ma wobec ustanowionego przez §. 20 sposobu układania warunków licytacyjnych dostatecznej rękojmi, iż przez zniżenie o 25% cena wywołania stanie się odpowiednią faktycznemu stanowi rzeczy. O wiele stosowniejszem byłoby wciągnąć w porównanie czynsz płacony w poprzednim okresie dzierżawnym i ustanowić opust 25%, a w razie zgody stron interesowanych, t. j. zwierzchności gminnej i Wydziału powiatowągo nawet 50% od tegoż czynszu.

Drugi ustęp, regulujący stosunki w razie gdyby dzierżawa wcale nie przyszła do skutku, jest zanadto ogólnikowy. Nie trudno przecież byłoby wyraźnie ustanowić, w jaki sposób wówczas polowanie powinnoby być prowadzone, jak to ustawy dla innych krajów koronnych uczyniły. Gdy zaś u nas powód niewydzierżawienia będzie w największej części wypadków leżeć w kompletnem zniszczeniu tego polowania, najodpowiedniejszem byłoby postanowienie, iż w takim razie polowanie powinno być zamknięte na pewien przeciąg czasu, a dozór powierzony ukwalifikowanej do tego osobie, za wynagrodzeniem, któreby gmina ponosiła. Należało zaś w każdym razie powiedzieć, w jakim czasie licytacya ponownie powinna być rozpisaną.

Nikt zapewne nie wynajdzie, jaka jest *ratio legis* przepisu §. 26, iż czynsz dzierżawny składany *anticipando*, dopiero po upływie roku dzierżawnego zwierzchności gminnej oddanym być powinien. Przepis ten albowiem odpisany jest żywcem z dawnej ustawy łowieckiej, wedle której nie zachodziła konieczność wydzierżawiania polowań gminnych. Jest też pierwotnie w nim mowa o „dochodzie z polowania“, nie zaś o czynszu dzierżawnym. W takim składzie rzeczy był ten przepis zupełnie uzasadniony. W obecnem zaś brzmieniu i w obec innych norm projektu trudno się w nim sensu dopatrzeć.

To samo da się powiedzieć o ustępie ostatnim §. 31, gdzież albowiem, gdzie lisy istnieją, nie byłoby innej zwierzyny, dla której takowe są szkodliwymi.

Najlepszą zresztą częścią projektu są rozdziały IV. i V., na któreśmy obecnie zeszli. Przepisy co do ochrony zwierzyny użytkowej, tępienia szkodliwej, o wynagradzaniu szkód, są w ogóle jasne i odpowiedne. Jednak i tu musimy podnieść niektóre zarzuty, a mianowicie głównie co do przepisów, tyczących się tępienia dzików, albo jak mówi projekt, „dzikich świń“. Przedewszystkiem uważamy §. 40, ustanawiający obowiązek władz politycznych wydawania bezpłatnych certyfikatów na używanie broni palnej osobom przez urzędy gminne wskazanym, za nader niebezpieczny i mogący się stać podstawą do obejścia przepisów o kartach myśliwskich, mających położyć tamę kłusownictwu. Sądzimy, że należałoby Starostwom udzielić więcej wolności w działaniu w tej mierze, a stanowczo usunąć lub przynajmniej ograniczyć ingerencyę urzędów gminnych, natomiast użytkującym z polowania na sąsiednich obszarach przyznać prawo wskazania tych osób, którym certyfikatów takich wydawać się nie powinno. Wynagradzanie ustanowione w następnym paragrafie za ubicie dzików, uważamy stanowczo za nadto wysokie. Za daleko też poszli autorowie projektu, czyniąc w §. 40 za szkody uczynione przez zwierzynę szkodliwą odpowiedzialnym uprawnionego do polowania, jeśli „cokolwiek zarządza, co się do jej rozmnożenia przyczynić może“. Gdyby ten przepis wszedł w życie, to w kniejach, w których dziki przebywają, nie możnaby żadnej innej zwierzyny hodować. Wszystkie albowiem środki zarządzane celem szanowania zwierzyny użytkowej, przyczyniają się, lub przynajmniej mogą się przyczynić do rozmnożenia dzików. A któżby chciał wziąć na się odpowiedzialność za szkody wyrządzone przez dziki? Należałoby przeto zastąpić słowa użyte powyżej w cudzysłowie słowami: „jeśli ją (szkodliwą zwierzynę) hoduje“. Taki przepis odpowiadałby zamiarom ustawodawcy i nie pociągnąłby za sobą niezamierzonych a szkodliwych skutków.

Nie możemy się także zgodzić z końcowym ustępem §. 37, ustanawiającym prawo regresu dla uprawnionego do polowania w razie jeżeli zapłacił za szkody przez zwierzynę przechodnią wyrządzone. Już sama zasada takiego regresu w obec trudności skonstatowania, czyli zwierzyna wyrządzająca szkody była przechodnią lub nie, zdaje się nam nieodpowiednią i wiodącą tylko do pomnożenia sporów. Sposób zaś, którym to prawo regresu w szczególności unormowano, jest unicum w ustawodawstwie. Biorąc atoli rzecz *in concreto*, to wartość naprzykład pszenicy potratowanej i zjedzonej przez rogacza musi uprawniony do polowania na obszarze, na którym szkoda wyrządzoną została, ponosić z własnej kieszeni. Natomiast szkody wyrządzonej przez towarzyszące rogaczowi sarny może poszukiwać w drodze regresu od tego, na którego obszarze myśliwskim one przebywają. W jaki sposób zaś można skonstatować, t. j. w sposób, odpowiadający wymogom naszego formalistycznego postępowania cywilnego udowodnić, wiele pszenicy zjadł i stratował rogacz, a wiele kozy, tego nam autorowie nie wyjaśnili i wątpimy bardzo, ażali takie wyjaśnienie nam w ogóle dać mogą.

Rozdział VI. (o kartach myśliwskich), jeżeli weźmiemy zasadę, na której jest oparty, jako daną — pomimo wątpliwości, które się nam w tej mierze nasuwają — nie przedstawia nic, coby mogło wywołać naszą krytykę, a także i z następnego rozdziału (o przekroczeniach myśliwskich i karach), jedną tylko zasadę musimy zganić, a to tem ostrzej, że ona jest wprost sprzeczną z uchwałami ankiety łowieckiej — §. 73 mianowicie orzeka, iż w razie, jeżeli jedna osoba za kilka przekroczeń równocześnie ma być skazaną, natenczas kara powinna być wymierzona wedle wymiaru, który się okaże najwyższym za jedno z przekroczeń, o które jest oskarżony. Zasada ta, która właściwie brzmieć powinna, iż kara ma być wymierzoną wedle wymiaru ustanowionego za przekroczenia najostrzej karane — jest wprawdzie przyjętą w naszym kodeksie karnym i to zdaje się spowodowało autorów projektu, iż tę zasadę przyjęli, ta zasada naszego kodeksu karnego, jak i wiele innych jest jednak w teoryi prawa karnego prawie wygnaną przez zasadę, wypowiedzianą przez ankietę, iż za każde przekroczenie kara powinna być osobno wymierzoną, co tutaj, gdzie się rozchodzi prawie tylko o grzywny pieniężne, w zastósowaniu żadnych nie sprawia trudności.

Kończymy na tem nasze uwagi nad projektem ustawy łowieckiej, wyrażając nadzieję, iż Wydział krajowy, gdy w obecnej sesyi tenże projekt pod dyskusyę już nie przyszedł, na przyszłą sesyę przedłoży Sejmowi projekt na nowo i staranniej wypracowany, któryby ani ze względu prawniczego, ani ze względów łowieckich krytyki nie wywołał.

Lwów w Grudniu 1887.

Dr. Fryderyk Kratter.

REB DUWID

przez

Alexandra Ubysza.

(Ciąg dalszy).

Nim przejdę do miodobrania, opiszę wspomniany wyżej przyrząd łazy. Mocną dębową deszczułkę, szerokości i długości klepki z dużej beczki, znacznie jednak grubszą, przedziurawia się w obu jej końcach, do których przywiązuje się dwie, kilkadziesiąt łokci długie, niezbyt grube, wypróbowanej siły, linewki. Deszczułka zwie się „ławką“, linewki nie wspólnie z sobą skręcone, tylko każda pojedynczo, nazywają się „kiedy“ (od kiedania, rzucania). Włażący na drzewo uwiązawszy sobie do pasa oba końce linewki, wspina się na szczyt drzewa. Właściwa barć, czyli ul dziki, zależy od miejsca, w którem znajduje się dziupło w drzewie, zwykle mieści się ono w pobliżu korony, gdzie tworzy się w drzewach tak zwany „wilk“, w skutek zaciekania wody lub z innego wypadku uformowany. Drzewo w miejscu wilka zbolałe próchnieje, dzikie pszczoły, mniejsze i czarniejsze od swojskich, obierają sobie takie próchniska na siedzibę, rojąc się w nader rzadkich tylko wypadkach, gdy „zarobią“ dziupło niezbyt obszerne, z czego wynika brak miejsca dla nowego pokolenia. Stare barcie, mające obszerne i głębokie, w dół idące dziupło, mieszczą często roje nader licznej gromady pszczół. Plastry czasem kilka łokci w długość i szerokość mierzące, z starym zczerniałym woskiem, zalegają wnętrze takiego ula. Pszczoły dzikie, leśne, są nadzwyczaj robocze i gospodarne, nie było wypadku, aby stara barć, nawet w złych latach, nie obfitowała w miód. Bartnik dostawszy się aż ku oczku barci, linewkami przyciąga ku sobie resztę przyrządu, która pod sosną na ziemi zalega, poczem linewki owe w jedną i drugą stronę zarzucając, „kiedając“, obmotuje pień, deszczułki za punkt oparcia dla nóg, a nawet za siedzenie używając. Toporkiem wyrębuje otwór w barci, tlejącem próchnem podkurza pszczoły i wydziera plastry miodowe. Często gdy zabranie z sobą króbki (rodzaj kosza z kory lipowej) na gładki szczyt barci jest niemożliwym, jedna z linewek służy bartnikowi za rodzaj pośrednika między towarzyszami, u dołu stojącymi, nią bowiem spuszcza króbkę napełnioną plastrami, a próżną wyciąga do góry. Proceder ten nie bardzo jest bezpieczny, jeżeli bowiem deszczułka (ławka) złamie się, lub otwór (ucho), przez które linewka przeciągnięta pęknie, sznur nie zbyt mocny się zerwie, to bartnik spada z tej żywej wieży, a wynik łatwy do przewidzenia.

Z takim przyrządem uwiązanym u pasa, z głową pokrytą „sitkiem“ pasiecznickiem, jak wiewiórka pomknął na grubą sosnę Duwid bosemi nogami. Jakie przytem wykonywał ewolucye, nie chciałem patrzyć, uciekłem w gąszcz, dopiero usłyszawszy stuk toporka, którym Duwid wyrębywał otwór w ulu, ośmieliłem się wyruszyć z gęstych sośniaków. Dzień był dość chłodny, więc pszczoły niezbyt natarczywie atakowały ręce i bose pięty Duwida, którego ciało dziwną miało właściwość, bo nie puchło od ukąszenia pszczół. Duwid począł spuszczać króbką, uwiązaną do jednego końca linewki, miód. Wielu niebezpieczeństwom dosyć śmiało patrzałem w oczy, głębie wód, płomienie po-

żaru, nie obudzają we mnie takiego podrażnienia nerwów, jak widok szczytnych wysokości, tož ta karkołomna wyprawa Duwida odebrała mi apetyt do miodu i nabawiła bolu głowy. Leśniczy, Duwid i ludzie dodani im do pomocy po wybraniu jednej barci przeszli do drugiej, a my zasiedliśmy na ziemi pokrytej kilimkami, w celu posilenia się śniadaniem. Porucznik, jak się okazało, znakomity rysownik, wiernie, z pochwyceniem nawet podobieństwa, naszkicował tę scenę miodobrania. Duwid z sitkiem na twarzy, wyglądał jak orangutan, leśniczy, stryj mój i wiele osób z towarzystwa, uderzająco byli podobni, mnie zaś przedstawił uciekającego w gąszcze.

Stryj mój i synowie jego nie tęgimi byli myśliwymi na strzelbę, ale z chartami mistrze. Oficerowie mieli zabawić chwilę tylko dla kupna koni w Ostobużu, szczera gościnność zatrzymała ich przez cztery dni, w których rozmaitymi sposobami polowali. Jesień była; poczynał się odlot dzikiego ptactwa, a z nim dzikich gęsi i żórawi. Obadwa te gatunki ptaków, jakkolwiek należące do wodnych i błotnych, w jesieni, podczas odlotu, nie zwykły zapadać na moczarach. Ostobuż przylegał do olbrzymich jeszcze wówczas błot Bełzkich, a jednak gęsi dzikie, a osobliwie żórawie, zapadały na pobliskie pola, żerując po ścierniach i jesiennych zasiewach. W jesieni mięso żórawia bardzo jest smaczne, osobliwie młody daje wyborne pieczyste; kucharz stryja wybornie umiał przyprawiać żórawie, ze starych, po zabajcowaniu, robił doskonałą pieczeń z dzikim sosem tak, że można ją było wziąć za sarninę lub baraninę po sarniemu przyrządzoną. Młodego żórawia piekł na rożnie i dawał z buraczkami, dodając kiszone rydze. Stryj mówił, że dawniej za specyał uważano rydze z żórawiami — rzepę z przepiórkami. Postanowiliśmy więc zapolować na gęsie i żórawie, na polach zwanych „Umleszczyzną“, przytykały bowiem do lasu tegoż imienia, należącego do majątku Domaszowa. Pola te były zawsze najulubieńszem żerowiskiem i miejscem wypoczynku tych ptaków. Posłano po krzywego Wasyla, z którym zaznajomiłem czytelników „Łowca“ w gawędzie zatytułowanej: „Na błotach Bełzkich“, nikt bowiem lepiej takich łowów urządzać nie umiał. Przysztylhulał chętnie, bo szło o polowanie i poczęła się walna narada, jak zapolować na te nader ostrożne ptaki. Mądry Wasyl podał projekt, który się utrzymał. „Skoro zmrok padnie — mówił — ptaki ruszą w dalszą podróż. Proszę o dwie fury i sześciu ludzi z widłami i siekierami. Narąbawszy w lesie tyk i gałęzi, z tego postawię tyle bud, ile będzie myśliwych, sałasze te przykryję otawą, która stoi w kopicach na łące „Podostrowia“ tak, że jak kopy będą wyglądać. Jutro ze świtem panowie myśliwi udadzą się pod Umleszczyznę, gdzie będą owe sałasze. Panicz Oktaw, co to strzela ot — dodał, machnąwszy ręką — niechaj jedzie z chartami, krążąc po Swidowkach lub Kożarowie (nazwy łanów), czem zmusi ptaki do siadania pod Umleszczyzną“. — „A może lepiej by było podjechać nam na wozach, pokrytych gałęziami i słomą“ — wyrwałem się prawdziwie jak Filip z konopi. Wasyl na to, a zły był jak osa! „To! to! to! proszę panicza, nasze gęsi mądre, a żórawie chyba cudem nie dojrzą nas w sałaszach; tak trzeba zrobić jak ja mówię“. Stryj mój w domu niezmiernie samowolny, w kwestyi łowów ulegał Wasylowi, więc projekt jego przyjęto.

Daleko było jeszcze do wschodu słońca, gdy stryj leśniczego Czajkowskiego, rotmistrza, mnie i brata Henryka obudził. Porucznik, który wczoraj oświadczył, że pójdzie z chartami, został w łóżku. Rotmistrz strzelbę stryja nabił kulami, my zaś swoje lotkami i sarnim śrótem. Ruszamy tedy ku sałaszom, wyścielonym sianem, w których można się było przedrzemać, nim słońce zejdzie, bo wtedy dopiero, według zapewnienia Wasyla, lecące ptactwo poczyna krążyć nad miejscem, nim na niem zapadnie. Włazimy tedy każdy do swego sałaszu, który Wasyl starannie sianem osłonił, niewielki tylko otwór dla wytknięcia strzelby zostawiając. We wnętrzu szałasu ciemno jak w grobie, lubo niebo w stronie wschodniej poczęło się już rumienić i słońce wynurzyło się już z po za Choronowskich lasów. Wreszcie w znacznem gdzieś oddaleniu odezwało się gęganie lecącego stada gęsi. Więc baczność! forpoczty już są, wkrótce nadciągną i żórawie. Stało się jednak tak, jak to opisuje biskup Warmiński:

. . . . Jak na licho
Znów z dwie godzin było cicho.

Tym razem nie zupełnie cicho, bo w różnych stronach odzywały się lecące gęsi. Dobrze mówi przysłowie: „Nie bacz szaraka, gdy dybiesz na wilka“, tož i mnie mówiąc jak krzywy Wasyl, „zabagło“ się żórawi. Doczekałem się ich nareszcie około godziny dziesiątej przed południem. Ze spiewem przelatywały stada, słychać je zdala śród ciszy i rannego jesiennego chłodu. Lud prosty mniema, że lecący klucz żórawi wbrew ich woli zmusić można do krążenia w jednem miejscu, dość okryciem zdjętem z swej głowy okręcać w koło powtarzając słowa:

Żurawelki, wesełyki
Tak sia krut'te wandriwnyki (wędrowcy),

a wnet na to zaklęcie (co wszakże ma być grzechem), przycicha spiew lecącego w prostej linii klucza żórawi i poczynają krążyć na pewnej przestrzeni, szerokie zataczając koło. Takie jednak zaklęcie, jako też bicie ziemi, które w mniemaniu ludu jest „rodną matką“, czyni tylko młódź swawolna lub urlopnicy, zepsuci w „czużynie“, nigdy zaś człek poważny i pobożny.

W pewnych przerwach czasu ucichały lub wszczynały się spiewy gęsi i żórawi, pochodziły one od nadciągających, których głosy nikły w oddaleniu, lub tych, które na polach siadłszy milkły, bo spiewają tylko podczas lotu, gdy więc je kto spłoszył, lub poderwały się w celu szukania lepszego żerowiska, to nanowo poczynały gęsi gęgać, a żórawie zawodzić swym żałośnym głosem. Dobrze przewidział Wasyl, że żórawie mają, jak się wyraził, „zmach“ do Swidówek, bo tam był groch, i do Kozarowa, gdzie rósł bobik. Oba gatunki tego ziarna są ulubionym żerem żórawi, gęsi wolą inne drobniejsze ziarna. Patrzę przez otwór szałasowy, słońce było już wysoko, w dali dojrzałem naszych myśliwych z chartami, jak w cztery konie linią się rozciągnąwszy, buszowali tędy i owędy. Kilka stad żórawi krążyło po nad ich głowami; gdy które stado zapadło na łanie, jeźdźce spełniając dane im polecenie, dążą ku niemu końmi, a ono spłoszone podrywało się o jakie tysiąc kroków i ciągnęło w inną stronę spiewając, by znowu zapaść. Znudziło to w końcu żórawi, przeniosły się na Umleszczyznę, gdzie w znacznych od siebie odstępach i rozmyślnie bez symetrycznego porządku, poustawiał Wasyl nasze budy. Mój sałasz stał najbliżej owych grochowych i bobikowych ścierni. Żórawie krążąc przez czas jakiś ponad całą obszerną płaszczyzną, siadły na łanie niedawno żytem zasianym. Widziałem je dość dokładnie, lecz strzał nawet

kulą był niemożliwym. Widzę, jak dość liczne stado rozsypawszy się po szerokim łanie dziobie za ziarnem niezabronowanem, nie pogardzając pędrakami, glistami, nawet myszą, gdy się złowić uda. Mimo gorących moich modłów do św. Huberta, pozostał on nieczułym i nie napędził mi na strzał stada żórawi. Naraz słyszę strzał, po nim spiew żórawi. Po chwili drugi strzał zahuczał, więc ktoś był odemnie szczęśliwszym, strzelał do żórawi. Co począć, wyjść z budy, czy czekać Wasylowego sygnału. Odezwał się wreszcie głos jego trąbki, co tchu obalam budę, w której w skutek alteracyi na widok żórawi było mi duszno, i biegnę pod sam las, gdzie wskazany był punkt nasz zborny. Brawo! ubito dwa żórawie; pierwszego dosięgnął rotmistrz mistrzowskim strzałem kulą na jakie 400 kroków, drugiego ubił leśniczy Czajkowski w lot, na resztę myśliwych nie poszło stado. Rotmistrz, zwęgrzony Hanowerczyk, uszczęśliwiony tem nieznanem sobie polowaniem, garścią cwancygierów nagrodził Wasyla za jego pomysł ukrycia myśliwych w budach. Mówił, że wyborne to schronisko, ale dodał: „*Es war mir schwül dorten, wie im Dampfbade*“. Myśliwi z chartami również szczęśliwe mieli łowy, uszczuli trzy zające i lisa, który swoim zwyczajem południował, zasnąwszy w komeszy.

Oficerowie po sutym obiedzie odjechali do Mostów. Porucznik wyprosił dla siebie pióra żórawi, rosnące na kuprze, kędzierzawe, mające niejakie podobieństwo do piór strusich, nader poszukiwane przez węgierskich czikoszów (tabuńczyków) i kocziszów (woźniców). Jedni i drudzy ufarbowawszy te pióra na czarno, zdobią niemi swe zimowe kołpaki lub kapelusze, więc porucznik pragnął piórami temi obdarzyć swą stajenną służbę.

Leśniczy Czajkowski dokonawszy miodobrania, wybrawszy miodu wraz z woskowiną około trzech ćwierci, odjechał w towarzystwie adjutanta swego Duwida do domu. Po tygodniu i ja pożegnawszy swoich, ruszyłem z powrotem w moje podlwowskie strony. Stryj mój lubił mnie i dopełniał zwykle wszelkie moje braki, tak pieniężne jak moderunkowe. Potomek markizów francuskich d' Effé, o którym już w „Łowcu“ wspominałem, dostał polecenie uszycia mi nowej trenzli. Szyjąc ją krył się przed ciekawem okiem mojem, dopiero na samem wsiadaniu mojem spostrzegłem ją. Była to trenzla z surowca, upstrzona mnóstwem dodatków z czerwonej lakierowanej skóry. Po bokach zwisały paski skórzane z „talarkami“, jak kantorki chomontów krakowskich. „Naczółko“ obszyte było czerwonem suknem, co zaś najoryginalniejsze, a czego wierzchowa moja znieść nie mogła, od „nachrapnika“ zwisało mnóstwo cienkich, długich rzemyków. Wyglądała klacz w tej trenzli jakby muł hiszpański. Prawdopodobnie dodatki owe u nachrapnika poruszaniem się swojem odstraszają owady, napastujące muły w czasie jazdy. Biedna moja kasztanka prychała nieustannie, machając głową, jakby to było w porze „końskiego kiwona“, przypadającego w Lipcu i Sierpniu, w którym to czasie owady rodzaju much z szczególnem natręctwem wciskają się koniom w nozdrza, a konie pragnąc się od nich uwolnić, kiwają bezustannie głowami, ztąd też powyższa ludowa nazwa. Wyjechawszy z Ostobuża natychmiast odciąłem od trenzli wszelkie niepotrzebne dodatki.

Przyrzekłszy Czajkowskiemu, że go odwidzę, podążyłem do jego leśniczówki na Zielonem. Nic się tu nie zmieniło. Na moje spotkanie wyszedł Cheraton, leśniczy był w lesie, bo fury zabierały sągi dla magistratu Bełzkiego. Charaton odprowadził klacz moją do stajni, potem zakrzątnął się około przekąski dla mnie. Wszedłem do pokoiku i wszelkie przed rokiem doznawane tu uczucia odezwały się w duszy mojej. Wszedł Charaton z swoją czarną tacą, zastawioną mnóstwem artykułów pożywnych, a za nim tupiąc raciczkami wbiegł kilkumiesięczny sarniuk-koziołek. „Widzi pan — rzecze Charaton — to nasz najmłodszy synek Jurcio, przywitaj że się z panem — przemówił do koziołka, który piszcząc cieniutkim głosem, spoglądał ku mnie swem dużem okiem, trwożliwie do Charatona się tuląc. Podawszy koziołkowi kawałek cukru, jak mówią Rusini, „przyhołubiłem“ sobie Jurcia i zawarliśmy z sobą przyjaźń. Zapytałem Charatona, czy zawsze gra na fligelhornie? Zmięszany odpowiedział, że tylko czasem i dziwił się, że o tem wiem. Następnie opowiadał mi, że złapał 20 kop ptaków na skrajach lasu lub po chłopskich ogrodach w Prusinowie. Na zimową i późnojesienną przynętę dla kwiczołów, paszkotów i jemiołuch miał w lesie upatrzoną kalinę i jarzębinę, skoro „pokraśniała“, zbierał ją i mieszał pod okopem domu. W izbie jego przy kuchni zastałem mnóstwo ptactwa, w izbie nie było podłogi, na zawołanie z dziur sypały się króliki różnej barwy. W dwóch kątach alkierzyka stały wkopane w ziemię dwa do sufitu sięgające młode świerki, a na ich gałęziach fruwało kilkanaście łuszczaków. „Będzie tego więcej w zimie — rzekł Charaton — co podlejsze, idzie na rożenki, lepsze zostawia się na spiewaków, latem wypuszczam tę hołotę, niechaj leci w las Boga chwalić“. „A wilki są?“ — pytam. — „A są, może zobaczymy, ale trzeba dla nich wziąć żeru“. Poszliśmy ku studni z żórawiem, z której wyciągnął na sznurze wiszący duży kosz łozowy, pełen mięsa. „To — mówił — proszę pana mój letni magazyn żeru wilczego. Za pieniądze, które zabieram za grzyby, jagody, ptaszki ponizane na rożenki, kupujemy w Bełzie gorsze mięso wołowe, a w Uhnowie, gdzie jak panu wiadomo mieszkają szewcy a zarazem garbarze, którzy duszą stare konie dla skór, to u nich konina za bezcen“. Wilków tych była para dość oswojona, doskonale znała leśniczego i Charatona. Nie radził mi przystępować do nich blisko, mówiąc: „To bestye z natury fałszywe; lat temu dwa przyjechał był pan z Hoholowa i począł nudzić mego pana, by mu pokazał wilki; mówię ja jemu, aby nie podchodził ku nim, ale Hoholowski pan zawsze napuszysty, złajał mnie i poszedł, a samica obcesem na niego, alem ją zwalił pięstukiem po łbie i jakoś go nie targnęła“. Wilki spostrzegłszy Charatona z mięsem, szarpały się na łańcuchach, ale on huknął na nich, poczem szustnęły do nor, wygrzebanych przez siebie w wnętrzu szopki. Przywołał je, rozdzielił mięso, które z dziwną żarłocznością, świecąc swemi pochodniami, pożerały.

W podwórzu ukazał się „Gryź“, co było wskazówką, że leśniczy do domu powracał. Pobiegłem do pokojów i skryłem się, po chwili dopiero wpadłem na niego, a on zdziwiony porwał mnie w swoje objęcia i uścisnął tak, iż choć nie ułomek, omal nie krzyknąłem. Zaraz na wstępie zapowiedział mi, iż właśnie ma się odbyć doroczne w lasach polowanie. Na takiem polowaniu wszelka rochmanna zwierzyna, przez kogobądź ubita, należała według umowy do magistratu, drapieżna zaś, do której i dzik należał, do leśniczego. Wilków w lasach nie było, chyba przybłędy, dawniej bandami w nich przebywały, wytępił je Czajkowski, odtąd tylko wędrowne się pojawiały, a szczególnie

*

napędzone rzędowemi obławami. Polowanie miało się odbyć za dwa dni, leśniczy zapowiedział, że nie wypuści mnie rychło od siebie, spragniony swobodnej gawędki.

Pomny miłych chwil u niego przed rokiem spędzonych, wglądałem wszędzie i rozpytywałem o wszystko, a więc i o Duwidzie. „Dziwny to człowiek — odrzekł leśniczy — patrzę na niego od lat pięciu, gdy w tej karczmie zamieszkał i muszę przyznać, że jest prawdziwym wyrodkiem w swoim narodzie. Zapolujemy jutro i pojutrze na owych oficyalnych łowach, będzie i on na nich, jeżeli mu jego „bałbusta“ pozwoli, w przeciwnym razie wymknie się jej, jak to nieraz czyni. Opowiem panu kilka rysów z jego życia.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KORESPONDENCYE.

Nie jestem starym myśliwym, t. j. nie mam ani łysiny, ani siwych włosów na brodzie, ale poluję już od lat dziecinnych na rozmaitą zwierzynę i w różny sposób. Nigdy dotąd nie widziałem polowania z dobrymi jamnikami na lisy i borsuki. Niejeden z szanownych czytelników uśmiechnie się może pobłażliwie, gdy przeczyta, że pragnę opisywać takie zwykłe polowanie z psami, które dzisiaj w obec zarzuconych ogarów coraz więcej się rozpowszechniają i bywają używane. Jeżeli nie zdołam zainteresować, to już moja wina, nie rzeczy samej, i dlatego proszę z góry o przebaczenie.

W miesiącu Październiku pojechałem wraz z p. Os. o godzinie 2. z południa do Biłohorszczy (wieś pod Lwowem, własność gminy lwowskiej), zaproszony przez tamtejszego zarządcę rewiru, p. Zygmunta Bidzińskiego, by zwidzić jamy lisie i borsucze. Na leśniczówce zastaliśmy gospodarza już gotowego i z zajęciem, wrodzonem myśliwemu, rozglądałem się za psami. Nie było ich w pokoju. Był tylko prześliczny wyżeł rasy niemieckiej, kolosalnych rozmiarów, który z ciekawością przyglądał się wydobywaniu naszych strzelb. Wtem gospodarz zdjął z kołka łańcuszki z obróżkami, zadzwonił i natychmiast usłyszeliśmy skrobanie do drzwi, a gdy je otworzyłem, ujrzałem dwa małe pieski, o charakterystycznych kształtach jamników, które wbiegłszy do izby, szykowały się u nóg pana i nastawiały głowy do obróżek. Patrzyłem ze zdziwieniem i niedowierzaniem na dwie bestyjki bronzowe, żółto podżare, nie większe od dobrego kota i wątpiłem w pomyślny rezultat naszej wyprawy. Urwisz i Trafisz — tak się pieski nazywały, skomlały radośnie i wzięte na sforki ciągnęły się formalnie do lasu. Ekspedycya nasza wyglądała ciekawie. My ze strzelbami, gajowy i pomocnik jego z motykami i łopatą, a naprzód biegł wyżej wspomniany wyżeł z okrutnym dżaganem w pysku. Do jam było nie daleko. Rozstawiwszy nas tak, by każdy miał dogodny strzał do wymykającego lisa, puścił p. B. psy, które w okamgnieniu zniknęły pod ziemią. Chwilka miłego oczekiwania i oto dał się słyszeć przygłuszony gon psów, przenoszący się z miejsca na miejsce, aż wreszcie zatrzymał się pod grubem drzewem. Kopać tutaj! — zakomenderował pan B. — gajowi wzięli się do motyk, a my słuchaliśmy następujących objaśnień p. leśniczego: „To majster atakuje lisa (majster, jeden z piesków bez jednego ucha, które mu borsuk uciął, z rozdwojonym nosem, pokiereszowany, jakby całą kampanię z Napoleonem przebył), a już lisiura nasz“ i t. p. Za każdem odrzuceniem ziemi słychać było donośniejszy głos naszczekującego w jamie „majstra“, jeszcze kilka uderzeń motyki i ukazał się czarny otworek, a w nim bronzowy ogon psa. Pan B. nachylił się nad jamę i zakrzyknął: heco „Trafisz!“ W tej chwili usłyszeliśmy skowyt psa, który zachęcony rzucił się na wroga i został porządnie ciętym. Rozszerzono jamę, poczem lis zawadzony widełkami został wyrzuconym na wierzch. Jakby strzała z procy wpadł na niego siedzący spokojnie nad jamą, ze zwieszonemi melancholicznie uszami wyżeł, potrząsł kilka razy lisiurą, cisnął go na ziemię i *finita la comedia*...

Zabraliśmy pieski na łańcuszki, a komicznie wyglądał biedny majster z czerwonym od krwi nosem i pociągnęliśmy do drugich jam. Znowu to samo, z tą różnicą, że puszczone psy wkrótce w miejscu naszczekiwały i nie ruszyły się. „Borsuk“, rzekł pan B., „kopać tu!“ i wnet ujrzeliśmy znowu otworek i ogonki obydwóch psów. Wyciągnięto jednego za ogon, po skonstatowaniu, że borsuk osadzony został przez majstra nie w końcu bocznej jamy, ale w samym środku korytarza, zaczęliśmy się dobierać do jego tyłu, a dokopawszy się małego okienka, puściliśmy drugiego pieska — czeladnika. Nie potrafię opisać co się tam wówczas działo, gdy biednego borsuka atakowały obydwa jamniki naraz. Słychać było jak czeladnik dopadłszy tyłu i ujrzawszy, że tam zębów nie ma, wgryzł się w borsuczą szynkę i walił nim po ścianie jamy jak taranem. Dotknięty na honorze borsuk uciął majstra w nos, ale widząc że źle, obrócił się w jamie, by oddać swój tył na pastwę rozżartego ukąszeniem psa. Taka scena, podczas której boki zrywaliśmy, trwała kilka minut, poczem pan B. wyciągnął skrwawionego majstra za ogon, zawadził borsuka widłami, wyrwał go na wierzch i wnet poległ biedny samotnik, rzucony kilka razy o ziemię, w paszczy niemieckiego wyżła.

Przyznam się, że czegoś podobnego nigdy nie widziałem i byłem wdzięcznym p. Bidzińskiemu za sprawienie mi takiej emocyi. Pieski, o których była mowa, są w trzeciem polu i wcale zwierzyny nie gonią na wierzchu, bo pan B. na to nie pozwala, ze względu na pp. członków miejskiego Towarzystwa myśliwskiego, którzy prawo polowania w Biłohorszczy dzierżawią.

Stan zajęcy w Biłohorszczy jest śliczny i nic w tem nie ma dziwnego, gdy się zważy, że tam lis znajduje się tylko jako gość, któremu zaraz Urwisz i Trafisz powyżej opisane urządzają przyjęcie. Niedawno w Listopadzie byłem po raz drugi na jamach, ale to było mniej ciekawem, ponieważ po odkopaniu majster skorzystawszy ze sposobnej chwili, złapał lisa za łeb między uszy i żywcem wyciągnął z jamy, cofając się tyłem, poczem słychać było tylko trzeszczenie kości biednego mykity, gdy majster i czeladnik przystąpili do swej czynności. Zaiste polowanie to bez strzału można nazwać tragikomedyą.

We Lwowie w Grudniu 1887.

L. G. Dziubiński.

Jako członek Towarzystwa i jako stary myśliwy, który już niestety zeszedł z pola, pozwalam sobie poczynić niektóre uwagi, dotyczące reformy Ustawy łowieckiej. Zbytecznem byłoby powtarzać, jakiem to dobrodziejstwem dla myśliwstwa, że Towarzystwo łowieckie tak gorliwie wprowadza przestrzeganie Ustaw łowieckich. Ale cóż to znaczy, jeżeli owe Ustawy nie są tak przez właścicieli ziemskich, jako też przez władze kompetentne ściśle wykonywane. Zaczynam od kłusowników, których mamy jeszcze dotąd zbyt wiele, szczególnie w okolicach leśnych, a nawet i tam, gdzie lasów nie ma. Jest to wprawdzie rzeczą przedewszystkiem właścicieli majątków ziemskich, którzy powinni czuwać w tym względzie z pomocą swoich straży leśnych i polowych, lecz jak wiadomo, wiele z tych majątków jest w ręku izraelitów, którzy nie są myśliwymi, nie znajdują w tem interesu i przyjemności i zwierzyny strzelanej czy szczutej na mocy przepisów religijnych nie jadają, więc też o zwiarzostan nie dbają.

Wielką też szkodę wyrządzają psy włościańskie, włóczące się w każdej porze roku po polach, niszczą one zajączki młode i kotne samice, a nam starym myśliwym wiadomo, że każdy silny, duży kundys weźmie każdego zająca na wielkim śniegu. Włościanie mają zwyczaj brać z sobą psy domowe. Otóż zdaniem mojem możnaby temu zaradzić w sposób następujący: 1. Wnieść prośbę do Wys. Namiestnictwa, by poleciło wszystkim Starostwom, iżby, gdy wójtowie z całego powiatu przychodzą do Starostwa na sesye prawie co tydzień, kazali im ogłaszać w gminach swoich, że na mocy dawno już istniejącego c. k. rozporządzenia, psy mają być trzymane na uwięzi pod karą 2 złr. 2. Jednocześnie może Starostwo polecić żandarmeryi, iżby patrolując po wsiach przestrzegała, aby psy włóczące się po polach były strzelane, za co powinna być nagroda wyznaczona, a właściciele psów mają być do odpowiedzialności pociągani. 3. W każdej gminie, jako też na każdym obszarze dworskim, ma według ustaw nadzorować straż polowa zaprzysiężona, a straż taka zna każdego włościanina w swojej wsi, zna też jego psy, więc bardzo łatwo może w tym względzie czuwać nad ochroną zwierzyny. 4. Wyłapywanie jastrzębi na gołębia lub kurę białą, jako też na żelazka, przyczynia się bardzo do ochrony kuropatw, przepiórek i zajęcy. Każdej zimy łapałem takich szkodników 12 do 15 sztuk. Muszę tu jeszcze nadmienić, że wiązanie psów ma swą dodatnią stronę, ale też i ujemną. Psy na uwięzi trzymane zwykle są bardzo złośliwe, spuszczone na noc rzucają się na ludzi. Otóż sądzę, iż psu, który zwykł włóczyć się po polach, należy uwiązać kłódkę drewnianą o tyle ciężką, iżby nie mógł biegać.

Przechodzę do opodatkowania chartów. Za młodych lat polowałem z chartami, nie posiadając bowiem lasu, miałem w tem rozrywkę. Co roku, polując przez całą jesień, nie uszczułem więcej jak 15 do 20 zajęcy, w zimie zaś na śniegu nie polowałem na zające, nie mając w tem żadnej przyjemności, bo jak już wyżej powiedziałem, każdy kundys na wielkim śniegu chwyci zająca, o czem wiedzą myśliwi charciarze, którzy nieraz i w różnych miejscach znajdują mnóstwo turzycy, a przy niej trop psa, lub nawet leżącego spokojnie i dojadającego zająca. W zimie największą jest przyjemnością z chartami sankami objazd lisów, których brałem każdej prawie zimy 20 do 25 sztuk. Bądźmy sprawiedliwi, właściciel posiadający las, ma przyjemność i pożytek z polowania w każdym czasie, przeciwnie ziemianin mieszkający w okolicy bezleśnej, mający jedyną przyjemność w polowaniu z chartami, skazany na opłatę za każdego charta po 10 złr. To niesłuszne. Myśliwi z chartami nie uszczują w latach 10 tyle zajęcy, ile pada nieraz na jednem polowaniu ze strzelbą.

Wracając jeszcze do psów wiejskich przytaczam wypadek z mego własnego doświadczenia. Przed 10 laty wyjechałem z polowym dworskim z łańcuchem w celu przemierzenia kawałka pola. Spotykam włościanina Chorobrowskiego, jadącego z pługiem w pole, za którym biegły dwa psy. Mówię ja do niego: „Na szczo ty Stepane wedesz za soboju sobaki, koły znajesz, szczo pan starosta nakazał wijtom, aby psy buły powiezany“. A on na to odpowiada: „Proszu Wielmożnoho Pana, totyi psy tak sia rozłasyły na mołodyi zajaci, szczo ne można ich wże w domu utrymaty“. Obecnego polowego zapytałem, czy słyszał co ów gospodarz Stefan Parchoniuk mówił, poczem przesłałem zaraz przez tegoż polowego skargę do Starostwa, który kazał spisać protokół z polowym i wezwał Parchoniuka. Ten nazajutrz toż samo powtórzył, a pan Starosta skazał go na karę 2 złr. i zagroził zwiększeniem kary i wystrzelaniem psów. To też w Starostwie Sokalskiem jest pod tym względem porządek.

Henryk Kruszewski.

KRONIKA.

Wpisali się w poczet członków gal. Towarzystwa łowieckiego.
Czartoryski Witołd, książę.
Gajewski.
Łukasiewicz Jakób.

Na posiedzeniu Wydziału galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego z dnia 1. Stycznia b. r. przewodniczył prezes Towarzystwa hr. Roman Potocki. Obecni: wiceprezes Towarzystwa hr. Stefan Szembek. Członkowie Wydziału: Czarkowski Tadeusz, Glanz Józef, Komorowski Bronisław, Dr. Kratter Ferdynand, Rieger Władysław, Dr. Rieger Zygmunt, Simon Edward, Zontak Władysław.

Odczytano i przyjęto jednogłośnie ułożony przez p. Bronisława Komorowskiego memoryał od Wydziału Towarzystwa łowieckiego do komisyi sejmowej administracyjnej, upraszający o uchylenie przygotowanego przez Wydział krajowy projektu Ustawy łowieckiej z obrad obecnej sesyi sejmowej.

Przystąpiono do ułożenia porządku dziennego dla Walnego Zgromadzenia Towarzystwa łowieckiego, mającego się zebrać dnia 15. Stycznia. W tym celu rozpatrzono szczegółowo stan finansowy Towarzystwa, administracyę funduszów, środki pomnożenia tychże, jako też rozszerzenia „Łowca“ w Królestwie Polskiem, w Cesarstwie rosyjskiem i W. X. Poznańskiem, sprawę inseratów, zniżenie ceny „Łowca“ dla abonentów, styczność Wydziału Towarzystwa z delegatami, obudzenie w nich ruchu i życia, dotąd nader słabych — w ogóle wszelkie sprawy, które mogą być czy to w sprawozdaniu Wydziału wobec Walnego Zgromadzenia poruszone, czy też jemu pod rozwagę przedłożone.

Członkowie Wydziału postanowili w miarę możności dostarczać materyału Organowi Towarzystwa łowieckiego i gorliwie zachęcać do udzielania takiej pomocy, a p. dyrektor Glanz przyrzekł dostarczyć redakcyi „Łowca“ sprawozdania 44 zarządów lasów kameralnych z okresu lat dziesięciu.

Poruczono pp. Władysławowi Riegerowi i Bronisławowi Komorowskiemu zestawienie materyału dla obrad przyszłego posiedzenia Wydziału, oznaczonego na dzień 12. Stycznia b. r., w celu ułożenia Sprawozdania i porządku dziennego dla Walnego Zgromadzenia.

Posiedzeniu Wydziału z 12. Stycznia b. r. przewodniczył prezes Towarzystwa hr. Roman Potocki. Obecni: wiceprezes hr. Stefan Szembek; członkowie: Glanz J., Komorowski Br., Dr. Kratter F., Rieger Wł., dr. Rieger Z., Simon E., Zontak W.

Uchwalono przyjąć sprawozdanie dla Walnego Zgromadzenia przez p. Bronisława Komorowskiego opracowane i poczyniono w niem niektóre zmiany.

Dawniejsze postanowienie utworzenia ławy targowej dla sprzedaży zwierzyny znieść i tylko w „Łowcu“ dawać wskazówki, gdzie ubitą zwierzynę korzystnie zbyć można.

Podlasie 30. Grudnia 1887.

Od paru lat zbierałem się zakomunikować redakcyi „Łowca“ rezultaty polowania na bażanty, na które corocznie w Grudniu polujemy w Opolu u Stefana Zabiełły.

Zwykły rozkład wynosi około 100 kogutów; w r. b. padło 70 kogutów i 50 kur, które gospodarz pozwolił zabić z powodu znacznej ich ilości. Kogutów padła dla tego tak mała ilość, że czyniąc zadość żądaniu hr. Augusta P., 100 sztuk żywych odstąpiono i puszczono do lasów, w których miał polować Wielki Książę.

Z 18 myśliwych było kilku ładnie strzelających. Pomijam przyjemność, jaką nam sprawia samo polowanie, lecz gościnność i serdeczne przyjęcie, z jakiem dzisiaj spotkać się trudno, zniewalają mnie do wygłoszenia szczerego Bóg zapłać w imieniu uczestniczących dla obojga szanownych gospodarstwa. Już to przyznać trzeba, że samo położenie parku w Opolu jest jakby obmyślane dla powodzenia bażantów, których rocznie przeszło 600 jaj podkłada się pod indyki, przytem właściciel miał szczęście w wyrobieniu sobie odpowiedniego człowieka.

Komunikując niniejszą wzmiankę wspomnieć muszę, że jeden z moich sąsiadów Kuszell posiada trójkę chartów (suka czarna, psy popielaty i biały w żółte łaty, u niego urodzone), z których każdy puszczony pojedynczo o zakład weźmie każdego kota. Mimo to gdy w lesie polowaliśmy w r. b., nigdzie takiej masy zajęcy jak u niego nie spotkaliśmy, a choć sam z fuzyą nie poluje, jednakże charty te postanowił zbyć, aby polowanie leśne mógł doprowadzić do możliwie dobrych rezultatów. Dla charciarzy trafia się okazya do nabycia znakomitej smyczy; adres i szczegóły w Redakcyi. *Ch.*

Projekt do wniosku JE. p. Marszałka krajowego hr. Tarnowskiego, celem uczczenia 40-letniej rocznicy panowania Cesarza Franciszka Józefa.

Z okazyi 40-letniej rocznicy panowania Naj. Pana, ośmielam się zaproponować kupno dóbr Zakopańskich, w powiecie Nowotarskim położonych, z funduszów krajowych, których to sprzedaż przymusowa ma się odbyć na publicznej licytacyi po raz pierwszy dnia 9. Lutego r. b. w c. k. sądzie obwodowym w Nowym Sączu, za cenę wywołania 380.000 zł. w. a., a gdyby do drugiej licytacyi przyszło, także poniżej tej ceny w miesiącu Marcu r. b. — Z ceny licytacyjnej może na hipotece pozostać 200.000 zł. w. a., jako dług Kasy oszczędności w Reichenbergu za arcy umiarkowany procent; pozostaje więc mniej więcej potrzebna nadwyżka tylko w kapitale 180.000 zł. Ogłoszone w dziennikach, mianowicie w „Czasie“ Nr. 161 z dnia 17. Lipca r. z. przez dra Włodzimierza Olszewskiego, adwokata w Nowym Sączu i kilkoletniego sekwestratora dóbr Zakopańskich, męża z wszech miar na zupełne zaufanie publiczne zasługującego, bliższe szczegóły kupna tego wykazują pomiędzy innemi samego obszaru leśnego 8.020 morgów, w ogóle zaś zapewnienia nabywcy całych dóbr 5%, ewentualnie conajmniej 4% czystego rocznego dochodu.

Kupno to z funduszów krajowych dałoby się przeprowadzić pod następującymi warunkami:

a) Wysoki Sejm raczy uchwalić w przybliżeniu odpowiednią kwotę na zakupno dóbr Zakopańskich i zleci Wydziałowi krajowemu, aby jak najspiesznej zbadał rzeczywistą wartość tychże przez swoich zaufanych rzeczoznawców.

b) Wynik tego oszacowania ma jedynie służyć za podstawę do nieprzekraczelnej wysokości w ofiarowaniu ceny kupna na publicznej licytacyi.

c) Tak nabyte dobra przez Wydział krajowy pozostają własnością kraju, zaraz ale po odebraniu tychże w fizyczne posiadanie ma być wystawiony w odpowiednem miejscu w Zakopanem pawilon myśliwski z miękkiego materyału i zaofiarowany Najj. Panu jako własność, oraz z prawem wieczystem wyłącznego używania polowania w całych dobrach, na dzikie kozy (gemzy), świstaki i t. p., tylko zresztą w Alpach znajdującą się zwierzynę.

d) Ze znakomitej części dochodów dóbr Zakopańskich utworzy Wydział krajowy pożyteczne stypendya jak n. p. w pierwszym rzędzie stypendya dla kształcącej się polskiej młodzieży w zakładach wojskowych i t. p. Stypendya zaś te mają na zawsze nosić imię „Cesarza Franciszka Józefa dla uczczenia 40-letniej rocznicy panowania“.

Kto zna zamiłowanie Najj. Pana, jako też Jego Najdostojniejszej rodziny do myśliwstwa, ten nie będzie wątpił, że tego rodzaju zaofiarowany dar pamiątkowy będzie u dworu mile przyjęty, nadto zbliży bezpośrednio osobę Monarchy do kraju, która okoliczność także niezmiernie przyczyniłaby się do podniesienia dobrobytu biednej ludności Podtatrzańskiej, tej prawdziwie uroczej i jedynej w swoim guście Szwajcaryi polskiej, z górskiemi jeziorami europejskiej sławy, Morskiem okiem, dziś ulubionej i bardzo uczęszczanej przez publiczność naszą miejscowości, uznanej za krajowy zdrowodajny zakład klimatyczny, siedziby tak świetnie rozwijającej się szkoły snycerskiej, szkoły koronkarstwa i Towarzystwa Tatrzańskiego.

Z naciskiem na poparcie mego projektu nadmienić muszę, że tym sposobem uratowałoby się wielkie dobra Zakopańskie od grożącego niebezpieczeństwa przejścia tychże na własność arcy nieprzychylnie dla kraju usposobionego obcokrajowca z Prus, posiadacza sąsiednich dóbr od strony węgierskiej, lub zawiązanej już spółki kupieckiej spekulantów dla eksploatacyi lasów Zakopańskich, oczywiście skierowanej ku zupełnemu zniszczeniu tychże, rzecz zresztą ogromnej doniosłości pod względem wylewów Dunajca a pośrednio i Wisły, niszczących wielkie obszary nadbrzeżnych okolic. To też w należytem ocenieniu grozy tej sytuacyi, niemniej z gorącego przywiązania do ziemi ojczystej, oświadcza przez usta moje tamtejsza ludność górska gotowość przystąpienia niezawodnie do kupna dóbr Zakopańskich, w odpowiedniej części z sumą blisko 100.000 zł., aby tym sposobem ułatwić nabycie tak wielkiego obszaru ziemi uczciwym rękom tutejszokrajowca.

Ostatecznie wobec tak zagrożonych kwestyj żywotnych nasuwa się tu mimowolnie pytanie, czy zakupienie Zakopańskiego skarbu na rzecz kraju nie byłoby wspaniałym, patryotyczno-humanitarnym aktem, bez wątpienia także arcy przyjemnym o dobro kraju zawsze troskliwemu sercu Monarchy, przez który dałoby się pewną rękojmią uchylenia przyszłych katastrof wylewu i zniszczenia, a na samej granicy politycznej w uroczych górach, na kresach polskości, ustaliłaby się własność narodowa, stanowiąca najpiękniejszą część kraju naszego.

Lwów dnia 1. Stycznia 1888.

Feliks Pławicki, poseł Nowotarski.

Bez wątpienia do rzędu najmilszych swoich wspomnień myśliwskich zapiszą wszyscy uczestnicy dnie spędzone w zeszłym tygodniu na łowach w Wysuczce u ordynata Tadeusza Czarkowskiego. Z lat mej młodości pamiętam te knieje naszego głębokiego Podola, gdy w nich zwierzyna była rzadkością i kilka ubitych na dzień zajęcy uważano za świetny rezultat. Mile byłem zdziwiony, widząc dziś te knieje rojące się od dzików, sarn i zajęcy. Na najwyższe uznanie zasługuje też opieka, jaką dzisiejszy właściciel otoczył swój zwierzostan i wzorowe ze wszech miar kierownictwo łowów jego doświadczoną ręką prowadzone, przy pomocy energicznej i doskonale wprawionej straży leśnej. Do uświetnienia rezultatu przyczyniła się też nie mało tak pożądana ponowa, która spadła pierwszego dnia zjazdu naszego w Wysuczce. W 14 strzelb ubito ogółem: 2 dziki, 23 rogacze, 7 lisów, 253 zajęcy, 1 puhacza *(strix bubo)* i 1 jastrzębia gołębiarza. Ten ostatni szkodnik wyleciał ruszony przez pogonkę, trzymając w szponach wiewiórkę, której już był głowę odgryzł. Padł od celnego strzału jednego z myśliwych, nie wypuściwszy ze szponów swojej ofiary. Z prawdziwym żalem i tęsknotą pożegnaliśmy tę uroczą knieję i jej gościnnego gospodarza, zasyłając im serdeczne: do widzenia na rok przyszły. Co daj Boże!

Podkamień 23. Grudnia 1887.

Leopold hr. Starzeński.

Dnia 10. b. m. odbyło się w Kabarowcach, majątku p. Bolesława Wierzchlejskiego, świetne polowanie. W 14 strzelb ubito 14 rogaczy i 25 zajęcy, na przestrzeni niespełna 400 morgów obszaru. Jakkolwiek rezultat to pomyślny, nie może on jednak być miarą zwierzostanu, którym lasy p. Bolesława Wierzchlejskiego słyną. Przed dwoma bowiem laty w tym samym rewirze w 7 strzelk ubito 23 kozły, 23 zajęcy i 1 lisa. Powodem mniej pomyślnego rezultatu w bieżącym roku były wielkie sniegi, a skutkiem tych nie łatwe rozpoznanie rogaczy, jak niemniej polowanie, odbywające się tego samego dnia w granicznym o miedzę lesie.

Po skończonem polowaniu z rzadką dzisiaj a prawdziwie staropolską gościnnością gospodarstwo podejmowało myśliwych, z których kilkunastu z powodu zawiei śnieżnych dni kika z tej gościnności korzystało.

Żuków 23. Stycznia.

Dnia 16. i 17. Grudnia u. r. odbyło się polowanie w Żukowie w majętności pana A. Teodorowicza, pierwszego dnia w rewirze „Glinki“,

drugiego zaś w rewirze „Berezów“. Rezultat łowów w obu rewirach był nadspodziewanie dobry, na rozkładzie bowiem mieliśmy: 2 dziki, 4 kozły, 8 lisów i 70 zajęcy. Myśliwych było 17, nie licząc straży leśnej. Stan zwierzyny zaczyna się u nas znacznie podnosić, dzięki staraniom właściciela, który chętnie ponosi wszelkie wydatki. Przed paru laty w tych samych rewirach zabito zaledwie 26 zajęcy i 2 lisy. Wielką przysługę wyświadcza nam pan Sz., posiadający znakomite charty i jamniki i tępiący nimi niezmordowanie lisy, których tu wiele. Przeszłego roku w lecie wykopaliśmy 3 gniazda i wybraliśmy z nich 13 młodych lisów. Stan sarn i zajęcy jest znakomity, a jeżeli na wiosnę motylica, a obecnie ostra zima ich nie zdziesiątkuje, to mamy nadzieję świetnych rezultatów. *E. P.*

Podaję do wiadomości dziwne zdarzenie na polowaniu. Chciałem zabić kilka rogaczy. Przed polowaniem rano pojechałem na wygon, wziąłem ze sobą tylko sztuciec. Jadąc zobaczyłem rogacza, że jednak był daleko i w krzakach, zeskoczyłem ze sanek i podchodziłem go, co mi się też udało, gdyż podszedłem go, strzeliłem i rogacz został ua miejscu. Ponieważ sanki były daleko, byłem zmuszony sam ciągnąć rogacza około 100 kroków do linii, i cap znaku życia nie dawał. Gdy wreszcie zadyszany tą pracą w głębokim śniegu dociągnąłem go, zobaczyłem, ze cap jeszcze żyje i zacząłem szukać jakiego patyka, by go dobić, gdyż nie chciałem mu kulą znowu dziury robić. Wtem mój cap wstaje, zaczyna iść i staje na 10 kroków. Tymczasem Michałko nadjechał, a ja każę mu łapać capa i znów nie strzelam — ostatecznie cap przepadł. Kazałem Michałkowi szukać go, a sam pojechałem do domu, poczem polowaliśmy i zabili 4 rogacze, z których ja 3 położyłem. Wróciwszy do domu dowiaduję się o następującej historyi. Michałko nie mogąc sam złapać capa, który się ciągle kładł, lecz złapać nie dał, wziął sobie mego Zameksa do pomocy, a za nim pobiegł Pik. Ruszyli capa, Pik poszedł za nim, wypędził go przed karczmę, gdzie fury stały i stamtąd szli stępo jeden obok drugiego drogą. Po chwili stanęli, Pik wylizał capowi krew, cap obwąchał Pika i poszli stępo jeden do domu, drugi w las. Na tem kończy się ta sławna historya i cap przepadł, zapewne lisy go zjedzą. O ile mogę sądzić, nie jest na wylot przestrzelony, lecz ma bardzo silną kontuzyę w grzbiet, ale widocznie kości pacierzowej kula mu nie złamała. Dziś 15. Stycznia jakkolwiek tropy były śniegiem przekurzone, pojechałem szukać rogacza. Jakimś cudem znalazłem trop i kilka miejsc, gdzie leżał, wreszcie całkiem trop zgubiłem. Gdy już chciałem do domu jechać, widzimy psy z Iwaszowa uganiające za sarną. Posłałem Gorzka za ich tropem, który przyszedł do nich w chwili, gdy złapały mojego capa i już go drzeć zaczęły. Przyniósł mi go jeszcze żywego, choć już poszarpanego. Rzeczywiście miał bardzo silną kontuzyę w grzbiecie od kuli. *W.*

W Krzeszowicach u hr. Artura Potockiego w bażantarni odbyło się polowanie 3. Stycznia. Rezultat był świetny, a zadowolenie myśliwych ogólne. Hr. R. P. ubił 75 bażantów, 6 królików, 1 rogacza (kozła), 4 łanie i 1 rogacza (jelenia).

U hr. Stefana Zamojskiego w Wysocku było otropionych 6 dzików, z tych ubił hr. Zdzisław Tarnowski 1 odyńca, 1 wycinka, 1 grubą lochę i 1 warchlaka. Strzelec zabił odyńca.

Dnia 10. stycznia polowano u p. Juliusza Tustanowskiego w Łukawcu. Ubito 4 odyńce, 2 rogacze, 2 zające, 1 palumbariusa i 1 łasicę na 24 strzelców. Odyńca zabił celnym strzałem w oko na sztych Alex. Tustanowski, 2 odyńce p. A. Skrzyński, jednego odyńca nadleśniczy Borczowski. Do zajęcy strzelano kilka razy tylko w ostatnim miocie.

W dniach 16. i 17. Stycznia odbyło się polowanie w Lubieniu u bar. Adolfa Brunickiego. W 12 strzelb ubiliśmy pierwszego dnia 7 dzików, 1 lisa i 48 zajęcy, drugiego zaś 3 kozły i 38 zajęcy. Śniegi ogromne utrudniały bardzo polowanie, dzięki jednakże wzorowemu prowadzeniu i energii gospodarza nagonka szła znakomicie i prawie cała zwierzyna znajdująca się w miotach przechodzić musiała przez często tyralierski ogień myśliwych. Dodać jeszcze muszę, że dwa dziki silnie postrzelone pozostały w miocie i sądząc po dobrej farbie prawdopodobnie na drugi dzień znalezione zostały. *Stefan hr. Szembek.*

W dniach 19., 20. i 21. Grudnia 1887. odbyło się polowanie w rewirze Jodłowskim. Ubito 6 rogaczów, 290 zajęcy, 12 lisów i dwie kuropatwy a to: dnia 19 Grudnia w lasach Jodłowskich 3 rogacze, 105 zajęcy, 12 lisów, d. 20. Grudnia w lasach Jodłowskich-Jasieńskich 2 rogacze, 84 zajęcy; d. 21. Grudnia na polach Jasieńskich-Jodłowskich 1 rogacza, 101 zajęcy, 2 kuropatwy. Pierwsze dwa dni polowania w 9, w trzecim dniu w 8 strzelb. Uczestnikami tej biesiady myśliwskiej byli: hr. Branicki ubił 2 rogacze, 32 zajęcy, 1 lisa, 1 kuropatwę; hr. Andrzej Potocki 46 zajęcy, 1 lisa; hr. Andrzej Zamojski 1 rogacza, 38 zajęcy, 3 lisy, Stan. Homolacz 36 zajęcy, 1 lisa; Czesław Kieszkowski 1 rogacza, 39 zajęcy, 2 lisy; Stolzman 1 rogacza, 33 zajęcy, 1 lisa; Ursel 30 zajęcy, 1 lisa; Bondi 21 zajęcy, 1 lisa; Lipkowski 1 rogacza, 15 zajęcy, 1 lisa, 1 kuropatwę. Świetność stanu zwierzyny przypisać należy p. Hetperowi nadleśniczemu w Jodłowie, który z macierzyńską iście pieczołowitością pielęgnuje sarny i zające i wybija szkodników i drapieżców leśnych. *J. D.*

Lwów 13. Stycznia.

Niezwykłe zdarzenie. Pan J. S. zamieszkały w Sokalskiem, wybrał się w ubiegłym miesiącu na lisy z dwoma chartami, z których młody bardzo lotny lecz słabo bierczy, stary zaś powolniejszy lecz cięty. Upatrzonego lisa poszczuto, wkrótce pies młody doszedł go i zaczęli się borykać. Wnet też doszedł i chart stary i lisa udusiły. Wracając do domu myśliwy szpostrzegł, że chart młody kuleje, ale przypisując to ostremu polu nie bardzo na to zważał. Wkrótce noga psu opuchła, robiono obmywania, okłady i t. p., ale chart ciągle kulał. Przed kilku dniami przy pomyślnej ponowie pan S. zniecierpliwiony bierze oba charty na sanie i wyrusza w pole. Wnet upatruje lisa na pagórku i puszcza charty. Stary chart dojrzał lisa i pomknął, młody zaś rozpatrzywszy się w polu puszcza się w przeciwnym kierunku, w którym myśliwy nic był nie dostrzegł. Lis poszczuty uniósł się daleko na pagórek, chart za nim, a pan S. stracił obu z oczu. Zaciekawiony, co też spowodowało młodego charta do pościgu w przeciwnym kierunku, dojeżdża i za górką zastaje charta nad nieżywym już lisem, którego on sam spostrzegł i wziął. Wróciwszy do domu pan S. widząc charta ciągle kulejącego, opatruje dokladnie obrzmiałą nogę jego i domacał się jakiejś twardości pod skórą nie skaleczoną, przecina więc ten obrzęk i wydobywa z niego — ząb lisi, który przy pierwszem polowaniu w czasie utarczki z lisem odłamał się i w nodze ugrzązł. Pies natychmiast przestał kuleć i w kilku dniach był zdrów zupełnie. *Z. R.*

Rewne 14. Stycznia.

Dnia 18. Grudnia 1887 odbyło się w Kocmaniu główne roczne polowanie, na którem padło 183 zajęcy i 14 lisów. Dnia 8. Stycznia 1888 polowano w Rewnie na dziki i ubito 4 dwu i trzyroczne i dwa jednoroczne dziki, jakoteż 1 lisa. Strzelców było 20, strzałów padło 32. *C. Kochanowski.*

W num. 3 „Kurjera“ z r. u. p. Józef Szlezygier rzucił myśl urządzenia w Warszawie wystawy łowieckiej. Nie wątpię, że projekt ten obudzi żywe zainteresowanie pomiędzy miłośnikami szlachetnej rozrywki myśliwskiej, której przed wiekami, gdy jeszcze wyraz „sport“ nie był wynaleziony, z takiem upodobaniem oddawali się nasi przodkowie. Mimo to jednak obawiam się, ażeby myśl ta nie upadła, a zdaje mi się, że upaść może bardzo łatwo, jeżeli jej nie postawimy na gruncie najodpowiedniejszym, na którym powodzenie jest prawie niezawodne. Samoistnej, w środku miasta urządzonej wystawie łowieckiej stanąć mogą na przeszkodzie najróżnorodniejsze okoliczności. Ażeby tego uniknąć, należałoby zdaniem mojem urządzić taką wystawę w Zwierzyńcu. Przemawia za tem przedewszystkiem pokrewieństwo zadania. Znacznej części okazów do ogrodów zoologicznych, dostarcza łowiectwo, więc i łowiectwu nawzajem coś się od tych ogrodów należy. W naszym ogrodzie zoologicznym znajdziemy lokal dla wystawy gotowy, a w składzie osób zawiadujących tymże ogrodem, najodpowiedniejszy komitetu wystawowego zawiązek. Program wystawy, skreślony w zarysie przez p. Szlezygiera, w razie urządzenia jej w Zwierzyńcu, będzie mógł także być zupełniejszym, albowiem oprócz innych wymienionych przedmiotów znajdą się tam także zwierzęta, będące przedmiotem łowiectwa. Obszerniejsza przestrzeń ogrodu pozwoli także na wzniesienie w naturalnej wielkości urządzeń, służących dla ochrony zwierzyny, które musiałyby być wystawione w znacznie pomniejszych modelach, gdyby wystawa była umieszczoną w jakiejkolwiek sali. Wreszcie umieszczenie wystawy w Zwierzyńcu dałoby zwidzającym więcej jednocześnie przedmiotów do oglądania, a przez to samo wypadłoby zapewne na korzyść nie tylko samej wystawy, lecz i Zwierzyńca. *Myśliwy.*

(Kurjer codz. Warsz.)

Nowe przepisy o polowaniu (dla Król. Pols.), mające na celu ochronę zwierzyny, będą według zapewnień kompetentnych, zaprowadzone z początkiem roku bieżącego. Jedną z główniejszych innowacyi w nowych przepisach ma stanowić prawo oddawania dzierżawy polowań na gruntach włościańskich właścicielom przyległych większych przestrzeni. *Rolnik i hodowca Warsz.*

Kimirz w Styczniu.

Dnia 29. Listopada polowano w sąsiednim Czupurnosowie w 13 strzelb. Ubito 7 zajęcy i 3 lisy. Strzałów padło około 50, więc pudeł nie brakło, a to zapewne z tej przyczyny, że w ogóle pp. myśliwi, szczególnie młodzi, strzelają na zbyt daleką metę, ztąd pudła, a co gorsze, zwierz postrzelony albo ginie w lesie, lub choruje przez dłuższy czas i chudnie, zanim się wychodzi. Dobrzeby było oznaczyć karę pieniężną, choćby małą, za każdy chybny strzał. Fundusz taki mógłby służyć jako nagroda dla niższej służby leśnej za schwytanie kłusowników, których u nas niestety dość wiele.

H. Sozański leśniczy.

Na polowaniu u bar. Brunickiego w Podhorcach, w Stryjskiem, odbytem d. 31. Grudnia ubito 17 zajęcy i 7 kozłów. Za chybione strzały zebrano 10 złr. na cele dobroczynne.

Z pod Rawy ruskiej.

Po uciszeniu się zawieruchy śniegowej, jechałem wyborną sanną ku miastu, a mam zwyczaj wozić zawsze ze sobą strzelbę, której użyteczności w drodze doświadczyłem przed laty. Pewnego zimowego dnia jechałem do Rawy, środkiem lasu Machnowskiego. Zima była zawalna, toż wilki bandami włóczyły się po okolicy, rozszarpały nawet właśnie lasem Machnowskim jadącego jednym koniem sankami wieśniaka. Droga wiedzie środkiem lasu ciemnego sosnowego blisko na milowej przestrzeni. Konie moje szły szparko, naraz z pobliskiej gąszczy wyskoczyły trzy wilki i stanęły przed końmi, które najeżywszy grzywy żachnęły się. Bez wahania wypaliłem do jednego, ale śrót zajęczy na 60 kroków nie poraził śmiertelnie, wilk widocznie trafiony skręciwszy sobą pomknął w las wraz z towarzyszami, poczem konie przerażone jak wiatr ruszyły naprzód. Odtąd zawsze mam z sobą moją dubeltówkę. Tym razem nie w środku lasu, lecz na polach, do wsi Hrebenny należących, miałem dziwną przygodę. Po świeżej zawierusze śniegowej nie było wiele tropów, bo zając, jak wiadomo, w czasie zawiei nie opuszcza kotliny, a tropy stare śniegiem zasypane. Pusto było wokoło, tylko dwa jastrzębie wysoko wzniesione, krążyły ponad jednem miejscem, zapewne upatrzyły stadko kuropatw lub zająca. Podszedłem bliżej w celu ubicia jednego z jastrzębi, wtem wymyka zając i w tejże chwili spadają na niego oba jastrzębie, po kolei jeden lub drugi uderzając dziobem w szaraka. Wypaliłem do jednego w chwili, gdy godził na zająca, padł, ale zając także, pomknąwszy może 50 kroków, machnął skokami. Podjąłem obu jako niezwykły łup myśliwski. *Dersław.*

W Królestwie Polskiem niektórzy właściciele większych obszarów stworzyli sobie wcale ładne polowanie. W dobrach Radziejowice, pod Rudą Guzowską, należących do hr. J. K. odbyło się dwudniowe polowanie, na którem 8 myśliwych zabiło 132 zajęcy, 10 rogaczy i 4 lisy. W tymże czasie odbyły się łowy w dobrach Jabłonna i Nieporęt, w których wzięło udział 42 strzelców. Padło pod ich strzałami 147 zajęcy, 12 rogaczy i kilka lisów. Wreszcie w Petrykach, w powiecie Kaliskim, ubito w 6 strzelb 140 zajęcy.

Zahajpol. Styczeń.

Dnia 14. Stycznia odbyło się polowanie w Gwoździcu, u Romana kniazia Puzyny; w 12 strzelb w 5 godzinach zabito 103 zajęcy i 2 lisy.

S. J.

Z nad Sanu. Grudzień.

Bieda w górach naszych gdy duże spadną śniegi i boreasz wyje swoją smutną pieśń. Ludzie wtedy w chyżach (chatach) swoich jak eskimosi w jurtach śniegami zawianych, nudne i próżniacze wiodą życie. U nas gorzej jak w krainach polarnych, tam zima śnieżna, mroźna ale nie wietrzna i nie burzliwa, więc krajowcy mogą robić dalekie wyprawy łowieckie. U nas przeciwnie, w czasie zawieruch górskich niepodobna wyruszyć na łowy, choć zwierzyna pod sam niemal próg podchodzi. Ale też, gdy minie ta pora, kto choćby cokolwiek czuje w sobie animuszu myśliwskiego, rusza w las. Bezśnieżna i łagodna zima gorsza od srogiej, pusto wtedy i głucho w bliższych lasach, zwierzyna bowiem, dzik, sarna, a nawet wilk, trzyma się w dalekich i głębokich ostępach, bo tam żeru dość. Nawet dla oka niemiły widok nagich drzew i szarych przestrzeni. Myśliwi teraz chyba w właściwym Beskidzie, od niedawna dosyć śniegiem pokrytym, polują na jelenie. O rezultacie ich myśliwskich zabiegów dowiem się zapewne z dzienników krajowych. Dziwne to zaprawdę zjawisko, że takich wiadomości szukać trzeba nie w organie galic. Towarzystwa łowieckiego, które przecież ma tylu członków rozprószonych po całym kraju, ma swoich delegatów w powiatach. *L.*

Z pod Złoczowa. Grudzień.

Oto już z dniem 21. Grudnia rozpoczyna się kalendarzowa zima, a śniegu i mrozów nie ma, mamy ledwo lekką przyprószkę i małe przymrozki. Nie od dziś żyję, wiele się widziało i doświadczało, toż od lat wielu dostrzegam, że klimat w naszem Podkarpaciu wielce się zmienił. Przed laty trafiały się spóźnione zimy tak, że lud prosty do Bożego Narodzenia chodził boso, były one jednak nader rzadkie. Przeciwnie teraz zimy bywają późne, niemroźne i mało śnieżne. Zmiana taka w klimacie nie jest korzystną ani dla rolnika, ani dla myśliwego, spóźniona bowiem wiosna zgubną jest, jary posiew nie mając czasu do rozrostu bywa nędzny i spalony od skwarów słonecznych, parkoć zajęcy długotrwała lub wcześnie w Styczniu poczęta, wydaje na świat stworzeńka, które śnieżnice marcowe, kwietniowe, a często i silne przymrozki majowe zabijają. Najwcześniejsza mroźna i śnieżna zima nie uczyni tyle szkody w zwierzostanie, ile późna wiosna, która i dla sarn jest zabójczą. Niektórzy przyrodnicy twierdzą, że ruja sarn odbywa się w Listopadzie, Grudniu, a nawet w Styczniu, śmiało zaprzeczam owym godom weselnym na mrozie. „Miłość o głodzie i chłodzie niemiła i wojewodzie", mówi stara przypowieść. Przypuśćmy, iż jakaś para użyje tej przyjemności w Grudniu lub Styczniu, natenczas mielibyśmy z niej sarnięta w Sierpniu lub Wrześniu, co przecież niemożliwe i niebywałe. Spóźniona i najczęściej słotna i zimna wiosna nawet w Maju zabija sarnięta wczesnego rzutu. Zwierzyna skrzydlata nie mniej cierpi od słoty i chłodu, które zwykły następować po lekkich, spóźnionych zimach. Najlepszym dowodem tej prawdy jest znaczny ubytek zajęcy w ostatnim dziesiątku lat. Obecnie ledwie w drugiej połowie Grudnia pojawiła się ponowa, a za nią silne mrozy; dla myśliwstwa to nie świetna nadzieja.

M.

Z Bełzkiego.

Wreszcie w pierwszą piękną ponowę rozpoczęły się myśliwskie gody, ale niestety nader skąpe okazały się tropy zajęcze. Dawniej przypisywanoby to charciarzom, ale o tych teraz tylko tradycya głosi. Ubyszowie wynieśli się z tej okolicy i wymarli, Zbrożkom już jakoś żyłka charciarska z oczu nie patrzy, Kruszewski, właściciel Chorobrowa, jako weteran, żołnierz i myśliwy, na lwowskim bruku poluje chyba dawnemi wspomnieniami. Dziś charty jeszcze są jedynie w Głuchowie, ale one pewnie nie wytępiły zajęcy w całej okolicy. Główną przyczyną ubytku ich są rzadkie wprawdzie, ale mordercze polowania z nagonką, na których pada zwykle do 100 i więcej zajęcy. Cóż zostanie na rozpłodek? Dawniej, gdy polowano z psami, przy najczęstszych wyprawach, przez cały sezon myśliwski, ani połowy dzisiejszej liczby nie ubijano. Wiadomo, że zając dobrowolnie nie wędruje, trzyma się miejsca rodzinnego nawet samica przez gachów prześladowana, więc system polowania z nagonką, bez wielkiej wrzawy, nawet do nogi zwierzynę wybić może, nie tak jak dawniej przy polowaniach z gończymi, na których i spotkanie ze zwierzem nie było tak łatwe i zwierzyna przez psy wypędzona pozostawała u sąsiada. Może to, co mówię, jest wsteczne, ale prawdziwe, więc kiedy zarzucamy, może słusznie, polowania z psami, to pohamujmy także nasze mordercze pożądliwości, zwłaszcza zajęcy, których podobno w całym kraju coraz mniej. *C.*

Redaktor: Józef Łoziński. Adres: Władysław Zontak ul. Teatralna Nr. 18.

I. Związkowa Drukarnia we Lwowie.

Sprawozdanie stenograficzne

z Walnego Zgromadzenia galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego

z dnia 15. Stycznia 1888.

Obecni członkowie Wydziału Tow. łow.: hr. Roman Potocki, prezes Tow. łow., hr. Stefan Szembek, wiceprezes, Glanz Józef, Komorowski Bronisław, dr. Kratter Ferdynand, Rieger Władysław, dr. Rieger Zygmunt, Simon Edward, Zontak Władysław.

Członkowie Towarzystwa łowieckiego: hr. Borkowski Jerzy, hr. Borkowski Mieczysław, Dzikowski Alfred, Hirsch Piotr, Krogulski Seweryn, hr. Łubieński Roger, ks. Sapieha Władysław, hr. Stadnicki Stanisław, Szczerbicki Franciszek, hr. Tarnowski Stanisław, Ubysz Aleksander, hr. Wodzicki Antoni, hr. Zamojski Stefan, Zieglbauer Edward, Żurowski Teofil.

Prezes Roman hr. Potocki. Z prawdziwą przyjemnością po raz wtóry mam zaszczyt powitać Panów w téj sali. Cieszę się, że tak znakomity zastęp zwolenników św. Huberta zgromadzonych tu widzę. Sprawozdanie z czynności za rok ubiegły przedstawi sekretaryat Szanownemu Zgromadzeniu. Co do mnie zaznaczyć muszę, że niestety liczba członków naszego Towarzystwa się nie zwiększa; byłoby do życzenia, ażeby w kraju naszym zapanowało większe zainteresowanie się sprawami łowiectwa. Zadanie to najważniejsze naszych delegatów i dlatego pozwalam sobie do nich zanieść prośbę o najenergiczniejsze poparcie naszych usiłowań.

Jednym z ważniejszych przedmiotów naszego zebrania jest ustawa łowiecka. Kwestyą tą zajmował się Wydział na swych posiedzeniach i przyszedł do przekonania, że na tę ustawę w formie, w jakiej jest przedstawioną, zgodzić się nie można. Polecam tę sprawę uwadze Szanownych Panów, prosząc ich, by zechcieli udzielić wskazówek, jak Wydział w tej sprawie nadal zachować się ma.

Jeszcze jedną sprawę wypada mi podnieść i prośbę do Szanownych Panów zanieść, ażebyście byli łaskawi energicznie popierać czasopismo nasze Łowiec nadsyłaniem artykułów i sprawozdań myśliwskich. Celem ułatwienia tego zadania, przygotował Wydział blankiety, z uwidocznieniem na tychże dat i nazw zwierzyny łownej — blankiety te mają być rozesłane do delegatów z prośbą, aby raczyli je wypełnić i do sekretaryatu Towarzystwa nadesłać celem umieszczenia ich w Łowcu. Na tem zakończę moje przemówienie, otwierając ogólne zgromadzenie.

Na porządku dziennym Walnego Zgromadzenia jest sprawozdanie z czynności Wydziału, które sprawozdawca p. Komorowski zechce łaskawie odczytać.

Sprawozdawca p. Komorowski: Sprawozdanie z czynności Towarzystwa łowieckiego w okresie czasu od 12. Grudnia 1886 do 15. Stycznia 1888, przedłożone Walnemu Zgromadzeniu członków tego Towarzystwa.

Wielce szanowni panowie! Mamy za sobą znowu jeden okres istnienia Towarzystwa naszego, a Wydziałowi przypadło zadanie zdać sprawę zarówno z zabiegów swoich jakoteż z objawów życia i działalności w tym okresie krajowego Tow. łowieckiego w ogóle.

Wybitne znamię przejściowości w stosunkach łowieckich charakteryzuje czas, który legł między ostatniem naszem tu zebraniem się, a dniem dzisiejszym. Hasło myśliwych krajowych z Grudnia 1886, usunięcie kart myśliwskich przebrzmiało w odstępie czasu; na pierwszy plan zainteresowania się ogółu naszych myśliwych wystąpiła reforma całej ustawy krajowej łowieckiej, z którą też organicznie związano przyszłość ustawy o kartach myśliwskich, gdy w pierwotnem brzmieniu swojem nie zdołała uzyskać najwyższej sankcyj. Jakoż przyznać należy, że dla przyszłości gospodarstwa łowieckiego w kraju nie było żywotniejszej i bardziej pożądanej sprawy nad ogólną reformę, bądź przestarzałych, bądź też nie odpowiadających wyjątkowym stosunkom naszego kraju przepisów o prawie i wykonywaniu polowania. Nietylko zawodowi myśliwi, ale ogół obywateli, dbałych o podniesienie kultury krajowej, z żywą radością powitał zamierzoną reformę, a najwyższej Reprezentacyj krajowej przypadło prawdziwie wdzięczne zadanie dokonania tej reformy według zasad słuszności, przez uwzględnienie zarówno rzeczywistych interesów stanu łowieckiego, jak i potrzeb społeczeństwa w ogólności. Mimo jednak otuchy, jaka zrazu bezpośrednio w tej reformie interesowanych napełniała, co do przyszłych losów naszego łowiectwa, myśliwi w kraju od chwili podjęcia myśli reformy ustawy łowieckiej przez Wys. Wydział krajowy, pod wpływem oczekiwania rezultatu narad odnośnej ankiety, a jeszcze bardziej pod rozczarowującem wrażeniem gotowego już projektu nowej ustawy łow. Wys. Sejmowi do uchwały przedłożonego, dotkliwie czuli przejściowość tej sytuacyj, która i dziś jeszcze wcale wyjaśnioną nie jest. Stoimy na rozdrożu, jak przed rokiem, wśród zamętu pojęć i sprzecznych dążności, a jedyne wyjście w uspokojeniu umysłów polega teraz na chętnem i życzliwem wysłuchaniu opinij kół fachowych przez sfery decydujące w kraju.

Wielce szanowni Panowie! Wydział, który raczyliście obdarzyć swojem zaufaniem, znalazłszy się przed rokiem w obec faktu dokonanego co do uchwały zaprowadzenia kart myśliwskich i niemogąc już z tego powodu podjąć akcyj remonstracyjnej po myśli rezolucyj poprzedniego Walnego Zgromadzenia, z tem żywszą skwapliwością i otuchą przyjął zaproszenie Wys. Wydziału krajowego, by przez reprezentantów swoich wyraził w ankiecie fachowej zapatrywania swoje co do kierunków, w jakich pożądaną jest ogólna reforma przepisów o łowiectwie w kraju. W duchu przeprowadzonych na posiedzeniach pełnego Wydziału rozpraw, delegaci tegoż dobitnie zaznaczyli stanowisko nasze co do zagadnień, objętych kwestyonaryuszem ankiety. Jakkolwiek wszakże poglądy przez nich wyrażone

częstokroć pozyskały większość głosów pomiędzy członkami tejże, mimo to w referacie Wys. Wydziału krajowego o projekcie nowej ustawy łowieckiej zostały one albo pominięte, lub też w sposób tylko połowiczny uwzględnione. Co więcej, nawet w protokołach z posiedzeń ankiety nie podano dokładnie przemówień i wniosków delegatów naszego Wydziału, którzy gotowi są udzielić szanownym panom wszelkich bliższych w tej mierze wyjaśnień.

Tu zaznaczamy jedynie, że nie uwzględniono przyjętej przez ogół ankiety opinij naszych delegatów co do potrzeby zniżenia do 3 zł. opłaty za karty myśliwskie, proponowanej przez Wys. Wydział krajowy w pierwotnej wysokości 8 zł., że nie unormowano w duchu przedstawień naszych delegatów sprawy odszkodowania gospodarzy i sposobów zabezpieczania ich od szkód, przez dziki zrządzanych; że wreszcie stworzono zagadkowe egzamina kwalifikacyjne myśliwskie, bezwzględnie zakazano polowanie w dni świateczne i to obu obrządków katolickich w kraju itp.

Zdaniem Wydziału, projekt nowej ustawy łowieckiej Wys. Sejmowi krajowemn przedłożony i w całości swej organicznej i w szczegółach nieodpowiada wymaganiom ani prawnika, ani też łowcy gospodarza.

Wydział też po przedłożeniu go Sejmowi do traktowania ustawodawczego, miał sobie za obowiązek zwrócić się ze swoją opinią już wprost do właściwej świetnej komisyi sejmowej, a to pismem następującem:

Świetna komisyo!

Podpisany Wydział kraj. Towarzystwa łowieckiego na posiedzeniu swem z dnia 18. Grudnia 1887. zastanawiał się nad wypracowanym przez Wysoki Wydział krajowy i Wysokiemu Sejmowi krajowemu do uchwalenia przedłożonym projektem nowej ustawy łowieckiej dla naszego kraju i już w ogólnej dyskusyi przyszedł do przekonania, jednomyślnie przez wszystkich na posiedzeniu obecnych członków podzielonego, że projekt ów, niestety, w licznych kierunkach nie odpowiada zarówno fachowym poglądom na zasady racyonalnej gospodarki łowieckiej, w naszym specyalnie kraju, jakoteż pojęciom prawnym o istocie łowiectwa i wypływających z niej konsekwencyach w sferze socyalnej i cywilnej. Nietylko bowiem w definicyi i stylizacyi pojedyńczych postanowień projektu podpisany Wydział dostrzega rozmaitych niedokładności, które zresztą w parlamentarnem traktowaniu projektu już przez Świetną komisyę zostałyby usunięte, ale oceniając nową ustawę czysto merytorycznie, znajduje w niej bądź luki, bądź też pojęcia nie dające się pogodzić z interesami zawodowego a racyonalnego łowcy-gospodarza.

Uchwalił też podpisany Wydział w najbliższej przyszłości przystąpić objektywnie a fachowo do szczegółowego ocenienia projektu nowej ustawy łowieckiej i ułożenia na podstawie tegoż memoryału do właściwej Władzy krajowej, w którym zostałyby wyłożone poszczególnie owe luki, wątłości definicyi i sprzeczności w postanowieniach rzeczonego projektu. Gdy wszakże projekt ten faktycznie już stanął w programie obrad bieżącej sesyi Wysokiego Sejmu i gdy w parlamentarnem traktowaniu go przez krajowe Ciało ustawodawcze, w pierwszym rzędzie Świetnej komisyi przypadło zadanie wyrażenia się o nim, podpisany Wydział przeto, jako przedstawiciel publicznej instytucyi, powołanej do czuwania nad interesami łowiectwa w kraju, ma sobie za zaszczytny obowiązek udzielić na razie powyższej ogólnej opinii swojej, Świetnej komisyi wraz z uprzejmą a najusilniejszą prośbą:

Świetna komisya raczy podzielić zapatrywanie Wydziału kraj. Towarzystwa łowieckiego i spowodować u Wysokiego Sejmu uchylenie rozpraw nad projektem nowej ustawy łowieckiej z porządku dziennego bieżącej sesyi sejmowej, tudzież przekazanie projektu tego Wysokiemu Wydziałowi krajowemu do ponownego a gruntowniejszego i zgodniejszego z rzeczywistymi interesami łowiectwa w kraju opracowania go i przedłożenia Wysokiemu Sejmowi na najbliższej sesyi.

Z Wydziału kraj. Towarzystwa łowieckiego.

Nie należy nam tracić nadziei, że zarówno Świetna komisya, jak i Wys. Sejm, przedstawienie to Wydziału gal. Tow. łowieckiego łaskawie uwzględnią, a w takim razie przyszły Wydział będzie miał sobie za obowiązek, w gruntownym wywodzie wykazać Organowi wykonawczemu Wysokiego Sejmu poszczególne wadliwości i luki w tym projekcie.

Wielce Szanowni Panowie! Zrozumiecie to niezawodnie, że sprawa takiej doniosłości, jak reforma przepisów o łowiectwie, przeważnie zaabsorbować musiała uwagę i działalność Wydziału.

Wypada nam wszakże jeszcze zdać sprawę z czynności, przekazanych Wydziałowi, bądź uchwałami poprzedniego Walnego Zgromadzenia, bądź regulaminem naszym i rutyną. O stanie członków Towarzystwa w ostatnim roku dowiecie się Panowie ze sprawozdania budżetowego, które zarazem da wam obraz skuteczności środka, przez poprzednie Walne Zgromadzenie uchwalonego, mianowicie aby dość znaczne po członkach Towarzystwa zaległości udziałów ściągnąć do niezbyt pełnej kasy Towarzystwa. Niemniej dowiecie się Panowie ze sprawozdania budżetowego o stanie wydawnictwa organu naszego Towarzystwa „Łowca“ oraz jego satelity kalendarza łow. i ryb. na r. 1888., które to wydawnictwa, a szczególniej na czasie właśnie będący kalendarz, jak to powszechnie uznano, wybornie zredagowany pod względem informacyjnym i literackim, Wydział najusilniej poleca Szanownym Panom do życzliwego poparcia w kołach swoich znajomych, ileże rozszerzanie wydawnictw w rodzaju naszego kalendarza, stanowić może właśnie najskuteczniejszą propagandę zasad i celów krajowego Towarzystwa łowieckiego.

W wypadkach kilkakrotnej interwencyj u c. k. Władz z powodu doszłych nas wiadomości o naruszeniu obowiązujących ustaw łowieckich, doznawaliśmy jak zawsze pełnego uprzejmości wyrozumienia i skutecznego z ich strony poparcia, co z żywem uznaniem na tem miejscu zaznaczamy. W jednym też wypadku Wydział uznał za stosowne przyznać nagrodę pieniężną za czyn, który w następstwach mógł przynieść pożytek łowiectwu krajowemu, obdarzył mianowicie kwotą 5 zł. pobereżnika w państwie Nadwórniańskiem za schwytanie rysia.

Wybitną niewątpliwie manifestacyą żywotności Towarzystwa naszego w ostatnim okresie jego istnienia, był udział w zeszłorocznej wystawie krajowej w Krakowie, spowodowany inicyatywą Wydziału i przezeń wykonany. Liczni członkowie Towarzystwa na zaproszenie Wydziału z godną wszelkiego uznania ochotą, nadesłali na tę wystawę piękne i cenne okazy ze swoich zbiorów łupów i przyborów łowieckich, które zestawione w całości pod okiem członków Wydziału stanowiły, według opinii powszechnej, prawdziwą ozdobę wystawy krajowej i przyniosły kilku członkom Towarzystwa zaszczytne wyrazy uznania od właściwego komitetu sędziów. Nadmienić tu winniśmy, że

urządzenie oddziału łowieckiego na wystawie krajowej dokonane zostało nader skromnymi stosunkowo środkami materyalnymi, dzięki ofiarności oraz wpływowi i zabiegom kilku członków Towarzystwa.

Wielce Szanowni Panowie! Jeżeliśmy już wyczerpali swój materyał sprawozdawczy, nie sięgnąwszy co prawda aż po kresy horyzontu stosunków łowieckich w naszym kraju; jeżeli w sprawozdaniu naszem uderzy Was brak konkretnych danych do ocenienia tych stosunków, mianowicie brak statystycznych cyfer co do obecnej gospodarki łowieckiej w Galicyi, wypadków nadużyć i t. p. — to właśnie stanęliśmy w miejscu, w którem zwrócić się wypada Wydziałowi, jako organowi Waszemu centralnemu, do organów jego pomocniczych, PP. Delegatów na prowincyi z najusilniejszem wezwaniem i prośbą, aby żywszą niż dotąd rozwinęli działalność w zakresie poruczonych im przez Wydział funkcyj i w ściślejszej niż dotąd pozostawać chcieli łączności z Wydziałem. Dopóki bowiem to nie nastąpi, dopóki Wydział Towarzystwa za ich gorliwem pośrednictwem nie pozna rzeczywistego stanu stosunków łowiectwa we wszystkich okolicach i zakątkach kraju, dopóty też nie będzie miał podstawy do trafnego ocenienia potrzeb ogółu w tym względzie i podjęcia zbawiennej akcyi w duchu nakreślonych mu statutem zadań. Czas nam istotnie najwyższy zstąpić z platonicznej — że się tak wyrazimy — sfery interesów krajowego łowiectwa, na grunt ich rzeczywisty, stworzony z sum i z przeciętnych tych cyfer, jakich reprezentacyi Towarzystwa dostarczyć winni ci jej zastępcy, którzy mieszkają wśród pewnego obszaru rozległego naszego kraju, najlepiej poznać mogą miejscowe stosunki, aby nam wskazać, co w nich godne jest podniesienia innym na wzór i na pochwałę, a co, jako niezgodne z ustawami i zdrowemi zasadami łowiectwa, naszej natychmiastowej i bezwzględnej interwencyi wymaga. Dalszy rozwój i całą przyszłość krajowego Towarzystwa łowieckiego, szczerze nam to wyznać należy, upatrujemy właśnie w gorliwem, prawdziwie obywatelskiem współdziałaniu PP. Delegatów z Wydziałem, który też na naczelnem miejscu programu swoich przyszłych czynności stawia sobie ścieśnienie jak najdalej idące owego organicznego węzła, jaki go łączy z Szanownymi Reprezentantami interesów Towarzystwa na prowincyi. Lwów 15. Stycznia 1888.

Bronisław Komorowski, referent sprawozdauia. *Roman hr. Potocki*, Prezes gal. Tow. łow.

Prezes Roman hr. Potocki: Otwieram dyskusyą nad odczytanem właśnie sprawozdaniem. Żąda kto głosu?

Marszałek pow. p. Żurowski: Proszę o głos.

Prezes Roman hr. Potocki. P. Żurowski ma głos.

P. Żurowski: Wydział krajowy przedłożył Sejmowi projekt do ustawy łowieckiej. Ktokolwiek znający się na łowiectwie przejrzał z uwagą ten projekt, musiał przyjść do przekonania, że pisali ten projekt ludzie, którzy mało mieli do czynienia z łowiectwem i pisali go tylko na zielonym stoliku. Gdy przeczytałem sprawozdanie Wydziału krajowego i znalazłem w projekcie obowiązek składania egzaminu i wykazania się kwalifikacyą łowiecką, bałem się, że jak stanę przed tymi dwoma panami, którzy ten projekt układali, egzaminu z łowiectwa nie zdam. Znam polowania w kraju — znam je od Krakowa ku Kołomyi, ale na żadnem z polowań tych panów nie spotkałem a nawet nie słyszałem, aby który skowronka zastrzelił. O ile projekt przez takich ludzi wypracowany może być praktyczny, okazuje sam projekt i takie egzamina mają być składane w starostwach. Mam w powiecie sto kilkadziesiąt wsi, w każdej gminie, w każdej wsi potrzeba dwóch do trzech strażników, a więc potrzeba kilkaset egzaminów. Skąd ten starosta znajdzie ukwalifikowanych do tego ludzi, którzyby mogli tych egzaminów wysłuchać i osądzić, czyli kandydaci są odpowiednio ukwalifikowani, tego nie wiem. Projekt zawiera także jeden punkt, który powiada, w jakiej odległości od chaty można strzelać kota. Miara tam podana jest zbyteczną, bo jakkolwiek w teoryi mogłoby się zdawać, że byłoby odpowiedniem ograniczyć przestrzeń w tym względzie, to w praktyce, kto zna stosunki, uzna, że jest to zbyteczne, gdyby bowiem strażnik chciał w odległości bliżej niż 300 metrów od chaty zastrzelić kota, to gdyby go nie zabito, to z pewnością obito, a właściciel polowania przecież tego nie uczyni, aby pod chałupą strzelać kota.

W projekcie tym widzę jeszcze niektóre ważne luki, ani ustawa dawniejsza, ani projekt nie postanawiają, że ten, kto zastrzelił zwierza i popełnił kradzież, traci broń myśliwską. Pozwólcie Panowie, że użyję porównania: jeżeli złodziej zostanie z witrychem schwytany i za to ukarany, to nie oddają mu tego witrycha, aby z nim dalej chodził, lecz zachowują w sądzie. Tu dzieje się przeciwnie, ani ustawa dotąd obowiązująca, ani nowy projekt tej ustawy wcale nie postanawiają, aby strzelba uznaną była w takich razach za przepadłą. Miałem taki przypadek: zeszłego roku bawiłem podczas Sejmu we Lwowie; syn księży uznał ten czas za odpowiedni do polowania z pieskiem na sarny. Chciano go raz schwytać, nie udało się, lecz w końcu spotkał się z moim leśnym; przyszło do wymiany zdań nawet dość dobitnych i nareszcie leśny odebrał mu strzelbę. Zaskarżyłem go do Starostwa. Skazano go na 15 zł. albo trzy dni aresztu i utratę strzelby. Oskarżony wniósł rekurs do Namiestnictwa, które orzekło, że na utratę strzelby skazywać nie można, bo to w ustawie nie jest uzasadnione i poleciło Starostwu strzelbę oddać. Byłem jednak o tyle przezorny, że strzelby Starostwu nie oddałem; oskarżony do mnie po nią się zgłosił wprawdzie, lecz takowej mu nie wydałem; gdybym się jednak był chciał trzymać drogi legalnej, byłbym musiał oddać strzelbę Starostwu, któreby mu było ją zwróciło.

Szanowny sprawozdawca Wydziału powiedział nam, że Wydział Towarzystwa łowieckiego zrobił przedstawienie do komisyj sejmowej. Otóż komisya sejmowa obradowała temi dniami nad tą sprawą, ja także w komisyi moje zdanie wypowiedziałem o całym projekcie i poczyniono w tym projekcie zmiany: nie będzie się mierzyć na metry, jak daleko kota można strzelać, odpadną egzamina i o ile mi się zdaje, wypuszczono postanowienie zawierające wolność zabijania dzików i oddawania ich za wynagrodzeniem po 5 złr. Wątpię jednak, aby projekt przyszedł na porządek dzienny obrad Sejmu, albowiem sprawozdawca komisyi administracyjnej p. Adam Jędrzejowicz obłożnie zasłabł i jak dziś rzeczy stoją, więcej jest prawdopodobieństwa, że projekt ten pod obrady wcale na teraźniejszej sesyi sejmowej nie przyjdzie. Na tem uzyskamy przynajmniej tyle, że przez rok będzie można dokładniej tę rzecz opracować i otrzymamy ustawę lepszą, niż ta, którą obecnie Wydział krajowy zaprojektował. Wolałbym bowiem dawniejszą wadliwą ustawę, niż nową.

P. hr. Zamojski. Byłem także zawezwany do komisyi administracyjnej, do której powołano także panów

*

Tadeusza hr. Dieduszyckiego, Gniewosza i Artura hr. Potockiego. Przeszliśmy większą połowę całej ustawy i usunęliśmy te właśnie punkta, o których tu wspomniano, jednak sprawozdawca p. Adam Jędrzejowicz obłożnie zachorował i do końca ustawy nie doszliśmy. Mnie się także zdaje, że ta ustawa na obecnej sesyi nie przyjdzie pod obrady Sejmu i że rok czasu nam pozostanie do wygładzenia tej ustawy i uczynienia jej skuteczniejszą i właściwszą. Dziś nawet byłaby dyskusya w tej sprawie jałową, dla tego chcąc uspokoić Panów, że się nic teraz złego nie zrobi, wnoszę, by dyskusyą nad tym przedmiotem dziś zamknąć i przystąpić do dalszych przedmiotów porządku dziennego.

P. Roger hr. Łubieński. Mojem zdaniem byłoby najodpowiedniej, aby w obec tego, że tego roku już projektowana ustawa łowiecka pod obrady Sejmu nie przyjdzie, Wydział Towarzystwa naszego zechciał się łaskawie zająć opracowaniem takiej ustawy i na przyszły rok w formie petycyi do Sejmu albo wniosku pojedynczego członka gotowy projekt przedłożył Sejmowi; wówczas kraj będzie wiedział, że ten projekt był obmyślany i opracowany przez osoby najwięcej w tej mierze kompetentne.

P. hr. Stadnicki. W meritum sprawy wchodzić nie chcę, bo już projekt ustawy tak potępiono, iż więcej nie miałbym nic w tej mierze do dodania. Co do sposobu jednak załatwienia dalszego tej sprawy, przez p. hr. Łubieńskiego zaproponowanego, to pozwalam sobie postawić odmienny wniosek. Sprawa ustawy łowieckiej według mego zdania, pójdzie inną drogą; ona powróci napowrót do Wydziału krajowego; Wydział krajowy widząc, że ta sprawa potrzebuje zmiany, postąpi tą samą drogą, jaką obrał zeszłego roku, to jest zwoła ponownie ankietę i tejże nowej ankiecie odda tę sprawę do ocenienia. Otóż tu byłaby wskazaną działalność naszego Wydziału w tym kierunku, iżby Wydział starał się poufnie wprowadzić do tej ankiety takie osobistości, po którychby się można spodziewać, że na przyszłą sesyę sejmową wejdzie ustawa, jakiej sobie tylko życzyć możemy.

P. Żurowsi. Zdaje mi się, że wypowiedziane przez panów hr. Łubieńskiego i hr. Stadnickiego życzenia dadzą się ze sobą pogodzić i że dopiero połączone życzenia obu tych panów odniosą najlepszy skutek: można i projekt ułożyć i udać się do Wydziału krajowego z prośbą, by do ankiety powołał przynajmniej dwóch członków Wydziału Towarzystwa, a ci dwaj członkowie Wydziału będą się starali, ażeby ten projekt uzyskał większość komisyi.

P. Roger hr. Łubieński. Niestety nie mogę się zgodzić na zapatrywania dwóch moich kolegów; nie widzę potrzeby udawania się do Wydziału krajowego z prośbą, by powołał dwóch członków z grona naszego Wydziału, bo pytam się, kogo ma powołać Wydział krajowy, jeżeli nas nie powoła? Jak sobie z tą sprawą Sejm i Wydział krajowy postąpi, tego przesądzać nie mogę i prawdopodobnie Panowie także zdania stanowczego w tej mierze wyrazić nie możecie; sądzę jednak, że tu Towarzystwo nasze ma pole objawienia swej żywotności. Chodzi o ustawę łowiecką; powinniśmy sobie to postawić dla miłości własnej, że z naszego Towarzystwa taka ustawa wyjść powinna, ułożona przez ludzi fachowych i kompetentnych, dla tego to, czy Wydział krajowy nas zaprosi, czy nie, zostawiam na boku, a proszę o utrzymanie mego pierwotnego wniosku.

Prezes Roman hr. Potocki. P. hr. Zamojski uczynił wniosek zamknięcia dyskusyi co do ustawy samej. Zapytuję więc Panów, czy się z tym wnioskiem zgadzacie? Kto się z nim zgadza, raczy rękę podnieść. (Większość.) Dyskusya nad samą ustawą zamknięta. Zapisany do głosu p. dyr. Władysław Rieger ma głos.

P. dyr. Władysław Rieger. Z tego, co panowie Żurowski i hr. Zamojski powiedzieli, widzimy, że ustawa łowiecka w komisyi administracyjnej sejmowej jest w dobrych rękach i jakkolwiek projekt był dostatecznie skrytykowany, należy nam wierzyć, że ci panowie potrafią doskonale zastąpić interesa myśliwskie i skorygują tę ustawę tak, jak tego interes ogólny wymaga. Z przemówienia naszego sprawozdawcy przesłyszeliście może Panowie, że Wydział powziął uchwałę wybrania komisyi, któraby się tą sprawą szczegółowo zajęła, nam chodzi tylko o zwłokę, aby ustawa zaprojektowana nie weszła w życie. Komisya będzie miała za zadanie korzystać z tego czasu, nie ażeby ułożyć gotową ustawę, lecz ażeby przygotować materyał i uwagi godne interesów łowiectwa i takowe Sejmowi przedłożyć. Jeżeli komisya sejmowa z fachowych ludzi się składająca otrzyma taki memoryał, będzie to dostateczny substrat do ułatwienia przebiegu tej sprawy i sądzę, że nie potrzebaby wniosku p. hr. Łubieńskiego, bo w znacznej części Wydział już tę uchwałę powziął i tę uchwałę swą komisyi sejmowej zakomunikował. Paragrafowanie ustawy jest pracą ogromną i wymaga ludzi nie tylko z łowiectwem obeznanych, ale i fachowych jurystów. Ułożenie formalnego projektu ustawy potrzeba pozostawić organom, które są do tego urządzone i łatwiej to przeprowadzą; my z naszego ramienia dodamy tylko praktyczne uwagi i spiszemy memorał, który będzie służył za substrat ustawodawczym organom; myślę więc, że to, co w naszem sprawozdaniu zawarte, zadowolni szanowne Zgromadzenie.

P. hr. Stadnicki. P. hr. Łubieński nie zrozumiał mnie. Z zadaniem przedwstępnem Wydziału i dalszemi jego czynnościami, jak to przedstawiono w sprawozdaniu, ja się zgodziłem, ale co do przebiegu samej sprawy sądzę, że nad tą sprawą będzie znowu w lecie obradowała ankieta. Nie wątpię, że do ankiety powołanych będzie znowu dwóch członków Wydziału. Otóż wyraziłem życzenie, ażeby prócz tych dwóch członków starał się Wydział wprowadzić do ankiety osobistości, którymby czas pozwalał brać udział w obradach ankiety i któreby przyłożyć się mogły do należytego opracowania ustawy łowieckiej. Wiadomo mi, że do poprzedniej ankiety zaproszono osobistości, które niewątpliwie byłyby korzystnie współdziałały w obradach, gdyby tylko nie były przeszkodzone we wzięciu udziału w obradach. Wyrażam więc życzenie, ażeby Wydział zechciał pod tym względem wprowadzić do ankiety osobistości, któreby wspólnie z dwoma delegatami Wydziału przyczynić się mogły do dobrego opracowania ustawy.

P. hr. Zamojski. Pozwolę sobie uczynić jeden dodatek do tego, co powiedział p. hr. Stadnicki, pragnąłbym mianowicie, aby nie powołano znowu do ankiety członków z drugiego końca kraju, jak to się stało, że nawet członków z Krakowa powołano do ankiety. Trudno żądać, aby ci ludzie stamtąd tu przybyli, a zwłaszcza że znaleźliby się tutaj tacy, którzyby się tej pracy podjęli i nie byli narażeni na koszta i trudne podróże; dla tego radbym, aby wybrać takich, którymby było łatwo tu przybyć i którzyby się chętnie tego zadania podjąć chcieli.

P. dyr. Edward Simon. Pozwólcie Panowie, że jako delegat Wydziału Towarzystwa, krótkiemi słowy skreślę

Panom, jakie mieliśmy stanowisko w owej ankiecie. Nie wiem, czy Panom znany jest kwestyonaryusz ankiecie przedłożony. Jeżelibyście Panowie byli łaskawi przeglądnąć go i nad nim się zastanowić, to przeczytanie jego da Wam dostateczne pojęcie o stanowisku, jakie mieliśmy w tej ankiecie. W kwestyonaryuszu tym jest bardzo wiele paragrafów, ale najmniej traktują one o polowaniu jako polowaniu. Przedstawcie sobie Panowie, że referentem był p. radca Bereźnicki a p. Wilczyński sekretarzem, a już wyobrazicie sobie, jaką była nasza sytuacya. Tak jak na polowaniu, gdy się dostanie zaproszenie od gospodarza, który nie ma wyobrażenia o myśliwstwie a prowadzący polowanie ani lasów ani miotów nie zna. Sposób traktowania był także nieodpowiedni, protokołów nie prowadzono ani takowych nam nie odczytano. Gdyśmy się pomiarkowali, że ta rzecz nie idzie raźno, prosiliśmy, aby z uwagi, że nam protokoły nie są odczytane, treść obrad całej ankiety była do naszej wiadomości podaną, byśmy mogli nasze uwagi i przedstawienia poczynić. I tego nie uwzględniono, owszem nastąpiła rzecz inna, a mianowicie uchwały jednogłośnie powzięte w ankiecie pominięto i w projekcie ustawy zupełnie co innego napisano. Zadanie nasze było bardzo przykre i trudne i przy bardzo małym udziale członków, zaproszono nas bowiem w porę nieodpowiednią w czasie upałów, zaproszono niektórych członków z Krakowa, z których niektórzy jak pp. Homolacz i hr. Wodzicki się jawili; wielu jednak Panów nie było obecnych, z Galicyi wschodniej o ile sobie przypominam byłem tylko ja i Dr. Kratter. Jeszcze jedną wzmiankę pozwolę sobie tu wypowiedzieć: dlaczego była spowodowaną ankieta i dlaczego była spowodowaną i zamierzoną zmiana całej ustawy? Była wywołaną wnioskiem Romańczuka w sprawie szkód przez dziki zrządzonych. Skargi te są wedle mego przekonania zupełnie słuszne i uzasadnione, przyzna mi to każdy z Panów, który zna okręgi na Podgórzu, w których dziki niezmierne zrządzają szkody. Nie chcę przez to powiedzieć, aby te skargi nie były także w pewnych celach nadużywane — faktem jednak jest, że te szkody istnieją i to ze szkodą włościan, jak o tem w Głuchowie naocznie przekonać się mogliśmy. W obec tych skarg potrzeba było coś zrobić i tymże szkodom zaradzić. Sama ustawa bez rzeczywistego zaradzenia tego nie usunie, a krzywdy zawsze pozostaną krzywdami. Kwestyę tą sformułowano jako kwestyę na odszkodowanie wyrządzonych szkód. Każdy z Panów, który zna te szkody i naturę dzika, wie, do czegoby to doprowadziło, gdyby uznano, że czy to właściciel posiadłości, czy też właściciel polowania jest odpowiedzialnym za szkody przez dziki zrządzone. Wtenczas ja przynajmniej jakkolwiek jestem miłośnikiem polowania na dziki, natychmiast podpisałbym cyrograf, że nie chcę polować na dziki — ilość bowiem tych szkód jest nieskończona — a następstwem tego byłyby spory, procesa, niesnaski i najrozmaitsze oblikwidacye. Byłem tym, który postawił wniosek, o którym wspomniałem, że został usunięty. Uczyniłem go w tem przeświadczeniu, że to ze złego najlepsze wyjście, praktykowałem bowiem to ze skutkiem u siebie. Kiedy przyjeżdżałem do wsi, zdybywałem w jesieni deputacyą z wójtem na czele, która zanosiła skargę, że ich cały dobytek i „oseninu“ dziki przewróciły, że u mnie są dziki itd. Wówczas oddałem wójtowi do dyspozycyi trzech czy czterech moich leśnych w broń zaopatrzonych, którzy wspólnie z dodawanemi przez gminę kilkoma ludźmi kolejno patrolować mają w obrębie gminnych pól i teraz mam spokój. Otóż w ankiecie była dyskusya nad tą kwestyą i był postawiony wniosek, aby tam, gdzie będzie skonstatowanem, że w gminach dziki szkodę zrządzają, było dozwolone gminie prawo wniesienia podania do Starostwa, na które Starostwo w porozumieniu z Radą powiatową może wydać konsens na pewną liczbę strzelb, za które gmina i wójt odpowiada; w porozumieniu potem z właścicielem polowania może gmina zarządzić obronę swych zagrożonych pól. Taki był mój wniosek. Co z tego zrobiono, za to nie odpowiadam; postawiłem ten wniosek w przekonaniu, że coś koniecznie w tym kierunku zrobić potrzeba. Jeżeli kto inną lepszą znajdzie myśl, chętnie do niej przystąpię; zwracam jednak uwagę Panów, że ta kwestya wyminąć się nie da i ona jest dla mnie najniebezpieczniejszą; zanoszę jednak prośbę do Panów, jako znających potrzeby kraju i warunki, wśród których żyjemy, ażebyście byli łaskawi na nasze zaproszenie wziąć czynny udział w obradach. Jakkolwiek nie zachwalam elaboratu przez Wydział krajowy przedłożonego, to jednak możemy ten elaborat wziąć za podstawę naszych przyszłych obrad. W końcu zaznaczyć mi jeszcze wypada, że w kwestyi odszkodowania za dziki podniesiono, że mogą sobie wszędzie włościanie dziki strzelać. Zarzuciłem przeciw temu, że to sprzeciwiałoby się prawu własności — na to mi znowu odpowiedziano: to pan mu odbierzesz strzelbę! Otóż moi Panowie! takiemi frazesami kwestyi tej nie zażegnamy — to kwestya społeczna, którą załatwić słusznie należy. Uważałem to za obowiązek wypowiedzieć w obec Panów, przepraszając Ich, jeżeli nadużyłem cierpliwości i uwagi.

Prezes Roman hr. Potocki. Przemówienie to uważam jako sprawozdanie członka Wydziału, ponieważ dyskusya nad rzeczą samą została już zamkniętą. Do głosu zapisany p. Krogulski ma głos.

P. Krogulski. Do wniosku, nad którym się toczy dyskusya, pozwolę sobie dodać życzenie, ażeby mimo to, że w komisyi administracyjnej zasiadają ludzie fachowi i mimo, że z grona członków Wydziału będzie przedłożony memoryał, aby zaprosić jeszcze do obrad pp. Homolacza i hr. Wodzickiego, których nie należałoby fatygować i zapraszać do przybycia do Lwowa, lecz uprosić, by swe uwagi także poczynili, uwagi ich mogą być bardzo cenne. Wnosiłbym także, aby uprosić innych Panów w zawodzie łowieckim doświadczonych, aby także swe uwagi nad ustawą i kwestyonaryuszem poczynili. Nie stawiam formalnego wniosku, lecz wyrażam to tylko jako życzenie.

Hr. Łubieński. Czy pozwoli mi Pan Przewodniczący, że powiem parę słów po przemówieniu p. dyrektora Simona, dla poparcia mego wniosku.

Prezes Roman hr. Potocki. P. hr. Łubieński ma głos.

Hr. Łubieński. Wniosku mego nic tak nie może poprzeć jak właśnie sprawozdanie przez p. dyrektora Simona nam przedłożone. Widzę, że ankieta nie pojmowała do pewnego stopnia naszych życzeń. Znamy sposoby postępowania w Sejmie, jeżeli jakiś memoryał lub ogólny projekt wejdzie do Sejmu, musi on przejść przez alembik ankiet, komisyi itd. i nic tak szybko nie otrzyma postępu, jak rzecz zupełnie już gotowa. P. dyrektor Rieger powiedział nam, że trudno Wydziałowi zajmować się kodyfikacyą ustawy. Między członkami Wydziału widzę kilku Panów, którzyby się nawet kodyfikacyą zająć mogli; mamy zresztą dość przyjaciół i życzliwych, którzy nasze uwagi

w formę paragrafów ująć zechcą. Jedynym sposobem dojścia do celu właściwego, pewnego i konkretnego jest przyjść w tym roku z zupełnie gotowym projektem ustawy ujętym w paragrafy. Nie twierdzę, że projekt obecnie w komisyi się znajdujący, ma być odrzucony, wszak on został opracowany przez członków naszem zaufaniem obdarzonych. Owszem projekt ten można wziąć za substrat, jeszcze raz go przejrzeć, poczynić uwagi i zmienić; zastanowić się nad uwagami przez p. Simona nam przedstawionemi i uwzględnić tę rzecz w projekcie. Coraz bardziej jednak utwierdzam się w przekonaniu, że tylko z gotowym projektem wchodząc do Sejmu będziemy mieli szanse powodzenia. Z tych powodów proszę po raz trzeci o przyjęcie mego wniosku.

St. hr. Stadnicki. P. hr. Łubieński proponuje, ażeby memoryał w formie petycyi został wniesiony do Sejmu. Ja twierdzę, że skoro sprawa ta przez Sejm załatwioną nie została, Wydział krajowy będzie się czuł w obowiązku wnieść ją na przyszłą sesyą sejmową. Nim ta przyszła sesya sejmowa zostanie otwartą i nim petycya nasza będzie wniesioną, Wydział krajowy obmyśli już lepszy projekt ustawy; a zatem już wcześniej, nim ta petycya może być wniesioną, potrzebaby, aby Wydziałowi dać możność załatwienia, ponieważ przypuszczam, że będzie znowu ankieta zwołaną. Z tego powodu wnosiłbym, aby nasz memoryał, czy petycya dostała się do Wydziału krajowego jeszcze przed sesyą sejmową.

Hr. Łubieński. Nie pojmuję, dlaczego samoistny wniosek, albo petycya ma być przed otwarciem sesyi sejmowej wniesiony?

P. Krogulski. Jestem za wnioskiem hr. Łubieńskiego, bo z przemówienia p. Simona widzimy, że członkowie Wydziału wydelegowani do wzięcia udziału w obradach ankiety nie odnieśli pożądanego skutku. Kwestyonaryusz ich był niejako pominięty, protokołów nie spisywano, ich uwag nie wzięto pod rozwagę. To samo i teraz mogłoby spotkać naszych delegatów, dlatego wydaje się mi wniosek hr. Łubieńskiego zupełnie słusznym, ażebyśmy wystąpili z petycyą, albo też samoistnym formalnym projektem, któryby Wydział krajowy wziął pod rozwagę.

P. Komorowski. Pozwolę sobie zauważyć, że dyskutujemy stosując się do przyszłego nieznanego nam w tej chwili przebiegu sprawy. Wyobrażam sobie, że sprawa ustawy łowieckiej spadnie z porządku dziennego Sejmu i Wydział krajowy z własnej inicyatywy nic nie zarządzi, jeżeli nasz Wydział tej sprawy mu nie przypomni. Jestem zdania, że o ile Wydział krajowy ponownie ankiety nie zwoła, o tyle Wydział Towarzystwa łowieckiego w gruntownym wywodzie wykaże Wydziałowi krajowemu niedostatki i poprosi o ponowne zwołanie ankiety. O ileby Wydział krajowy temu żądaniu zadość nie uczynił, wówczas Wydział Towarzystwa wypracuje gotowy projekt i wejdzie z tym projektem do Sejmu. Tym wnioskiem godzę wniosek hr. Stadnickiego z wnioskiem hr. Łubieńskiego.

Hr. Łubieński. Przystępuję do wniosku p. Komorowskiego i mój wniosek cofam.

Prezes Roman hr. Potocki. W takim razie jest jeden tylko wniosek p. Komorowskiego z dodatkiem hr. Zamoyskiego. Kto ten wniosek przyjmuje, raczy rękę podnieść. Jednogłośnie przyjęty. Czy żąda jeszcze kto głosu do dalszych punktów sprawozdania odczytanego przez sprawozdawcę? (Nikt). Gdy nikt więcej głosu nie żąda, uważam to sprawozdanie jako do wiadomości przyjęte. Przystępujemy do sprawozdania budżetowego. Głos ma p. dyrektor Rieger.

Dyrektor Rieger odczytuje sprawozdanie budżetowe za r. 1885 i 1886:

Rok 1886.

Przychód:

Pozostałość z dn. 31. Grudnia 1885	694 zł.	81	ct.
Wkładki członków	2.002 „	—	„
Z prenumeraty „Łowca“	210 „	—	„
	2.906 zł.	81	ct.

Rozchód:

Wydawnictwo „Łowca“	2.006 zł.	—	ct.
Administracya	532 „	—	„
Podatek	8 „	98	„
Biblioteka	21 „	76	„
Różne wydatki	83 „	40	„
Niedobór kalendarza	122 „	39	„
Zaliczka udzielona p. H.	50 „	—	„
Pozostałość w kasie	81 „	38	„
	2.906 zł.	81	ct.

Rok 1887.

Przychód:

Pozostałość z dn. 31. Grudnia 1886	81 zł.	38	ct.
Wkładki członków	2.307 „	—	„
Z prenumeraty „Łowca“	235 „	—	„
Różne wpływy	125 „	—	„
	2.748 zł.	38	ct.

Rozchód:

Wydawnictwo „Łowca“	1.992 zł.	—	ct.
Administracya	519 „	10	„
Podatek	8 „	89	„
Biblioteka	8 „	25	„
Zaliczka p U.	50 „	—	„
Różne wydatki	114 „	67	„
Pozostałość w kasie	55 „	47	„
	2.748 zł.	38	ct.

Z porównania tych dwóch sprawozdań kasowych przekonacie się Panowie, że nam członkowie w części ubywają i restancye coraz bardziej się wzmagają, a fundusze z każdym rokiem mniejsze. Stan ten spowodował nas zarządzić energiczniejsze ściąganie wkładek od członków; uchwaliliśmy wysłać „Łowca“ za zaliczką pocztową i pobierać należytości nie tylko za bieżący rok, ale i za lata poprzednie. Zdaje mi się, że Szanowne Zgromadzenie uzna ten sposób postępowania jako stosowny, a niejednemu z członków Towarzystwa może nawet pożądany, koszta bowiem przesyłki za zaliczką nie są wielkie; zaś w ten sposób ściągnęliśmy pokaźną liczbę zaległych wkładek. Celem utrzymania równowagi w budżecie jest pożądanem, abyście Panowie jako zwolennicy i przyjaciele naszego stowarzyszenia w swojem gronie podjęli propagandę celem pozyskania nowych członków i celem punktualnego wpływania wkładek. Z drugiej strony Wydział poczynił już odpowiednie kroki, aby wydawnictwo „Łowca“ sprowadzić do odpowiedniej ilości numerów, przez co także da się osiągnąć pewna oszczędność. W tej chwili zaległości mamy nieznaczne, liczba członków obraca się około 450; sądzę jednak, że ta liczba się zwiększy wskutek uchwalonej, a do delegatów wystosować się mającej odezwy.

St. hr. Szembek. W tej kwestyi podnieść muszę, że znajdujemy się w nieprzyjemnej pozycyi co do ściągagania wkładek od członków. Są członkowie, którzy pomimo,

że nie zapłacili wkładki, otrzymanych numerów „Łowca“ nie zwrócili. Nad tą kwestyą zastanawia się obecnie Wydział i jeżeli dojdzie do wiadomości Panów, że się energiczniej zabieramy do ściągania tego rodzaju należytości, abyście nas Panowie mieli za wytłumaczonych.

Wład. ks. Sapieha. Przy kwestyi budżetowej chciałem poruszyć także sprawę „Łowca“, który według mego przekonania coraz gorzej jest redagowany [1]). Korespondencyj w nim coraz mniej, coraz też mniej faktów dla szerszej publiczności. Wartoby więc, by Wydział najsprężyściej starał się podnieść „Łowca“, którego wydawnictwo robi na mnie przynajmniej wrażenie, że upada. Pismo to członków bardzo przyciągające i najczęściej tentujące do Towarzystwa. Dawniej znajdowało się w numerze sporo faktów o polowaniu, o wyniku polowań, dziś to wszystko ustaje; dział kroniki ogranicza się na wypisywaniu i tłumaczeniu artykułów zagranicznych pism. Wniosku nie stawiam żadnego, tylko wyrażam życzenie do Wydziału, aby w jak najenergiczniejszy sposób zastanowił się nad tą kwestyą, aby pozyskał korespondentów, którzyby i o drobnych faktach donosili i aby tym sposobem nasz organ podnieść.

Hr. Szembek. W odpowiedzi na zarzuty przez ks. Sapiehę uczynione pozwolę sobie powiedzieć, że tak w sprawozdaniu jak i przemówieniu p. Przewodniczącego podnieśliśmy tę kwestyą ogólnikowo, że prosimy wszystkich tak członków jak i delegatów Towarzystwa, z którymi jak dotąd bardzo mało mieliśmy czucia, aby zasilali „Łowca“ korespondencyami, faktami, których brak książe czuje. To jest naszem zadaniem i odpowiedź na te zarzuty znajdzie książe w przemówieniu p. Przewodniczącego i w sprawozdaniu Wydziału.

P. Żurowski. Mówiono tu o tem, że delegaci mają przesyłać korespondencye do „Łowca“. Od początku istnienia „Łowca“ przesyłałem i ja także od czasu do czasu pewne korespondencye. Zeszłego roku napisałem sprawozdanie z polowania. Umieszczono je jednak w ten sposób, że środkowy ustęp wypuszczono i ten, co tę korespondencyę czytał, nie miał tej myśli, która wiązała całość. Nie bardzo mię to przyjemnie dotknęło i nie dziwię się, że to i innych zniechęca. Napisałem do redakcyi, otrzymałem odpowiedź, że nawał pracy mógł być tego powodem — chociaż nie wiem, czy wydanie 12 numerów na rok można nazwać nawałem pracy [2]); w następnym jednak numerze redakcya umieściła pouczenie, że jest sługą sprawy, nie prywatnych osób. Jeżeli się w ten sposób traktuje korespondentów, to nie dziw, że dalej nie koresponduję [3]). Mam jednak przekonanie, że jeżeli ludzie zajmujący się łowiectwem będą dostarczali faktów i sprawozdań z polowania lub opisu interesujących rzeczy, „Łowiec“ się podniesie i uczyni się go interesującym dla szerszej publiczności.

Prezes Roman hr. Potocki. Skończmy najpierw kwestyę rachunkową, a potem przystąpimy do wydawnictwa „Łowca“. Do sprawozdania budżetowego żąda kto głosu? (Nikt). Gdy nikt głosu nie żąda, uważam, że rachunki przedłożone są zaakceptowane i absolutoryum komisyi rachunkowej udzielone. Wracając do kwestyi wydawnictwa „Łowca“, pozwolę sobie zauważyć, że na skutek różnych zażaleń w tej mierze poleciliśmy naszej komisyi redakcyjnej, aby się nad tą sprawą zastanowiła i mam nadzieję, że polepszenie nastąpi. To dla zaspokojenia ks. Sapiehy i marszałka Żurowskiego, których życzenia doszły do naszej wiadomości.

Dr. Zyg. Rieger. Uwagi, które ks. Sapieha zrobił co do uboższej treści „Łowca“, nie tylko jemu wpadły w oczy, nie sądzę jednak, aby książe z tego powodu chciał czynić zarzut Wydziałowi albo redakcyi, bo już z samej treści „Łowca“ można widzieć, że kiedy dawniej w początkach egzystencyi „Łowiec“ był, że tak powiem ulem, do którego pszczoły miód znosiły, dziś jest pająkiem, który musi własną snuć przędzę. Redaktor niejednokrotnie jest w ambarasie, czem zapełnić „Łowca“. Jeżeli w ciągu miesiąca nie wpłyną korespondencye, musi sięgać do czasów dawniejszych i posługiwać się tłumaczeniami. Byłem świadkiem, jak się żalił na brak wszelkiego udziału. Ani Wydział, ani redakcya sforsować tego nie może, jeżeli się ogół myśliwych nie poczuwa do obowiązku donieść o każdym wypadku w dziedzinie łowiectwa na prowincyi, to w jakiż sposób redakcya ma przyjść do wiadomości tych wypadków. Zdarzało się nawet niejednokrotnie, że redakcya przychodziła do wiadomości pewnych faktów z dzienników politycznych, mimo że fakta te tylko do „Łowca“ się nadawały.

Ks. Sapieha. Żadnego zarzutu nie chciałem ani Wydziałowi ani redakcyi „Łowca“ uczynić, chciałem tylko na Ogólnem Zgromadzeniu w dobrze zrozumianym interesie Towarzystwa podnieść to wrażenie, które na mnie „Łowiec“ w ostatnim roku zrobił. Dawniej kronika interesowała bardzo wiele osób, w zeszłym roku nie było prawie ani jednego faktu z ciekawym rezultatem polowania. Z drugiej strony pojmuję to dobrze, jakie pod tym względem redakcya i Wydział ma trudności do zwalczenia, jest to po prostu niechęć do wzięcia pióra w rękę. Wniosku nie stawiam żadnego tylko sądziłbym, że dobrzeby było aby Wydział odezwał się w najbliższym numerze do członków i delegatów, by jak najwięcej nadsyłali redakcyi faktów. Rodzaj wykazu ubitej zwierzyny w formularz ułożony, możnaby do wybitniejszych rozesłać członków, a wtedy możeby dostarczyło się materyału redakcyi.

Hr. Tarnowski. Myśl przez ks. Sapiehę poruszona jest trafna, wpłynie to bowiem na ożywienie działalności delegatów, dlatego popieram wniosek ks. Sapiehy.

Hr. Szembek. Reasumując to wszystko powtarzam jeszcze raz, że jest to staraniem naszem, byśmy redakcyą „Łowca“ zasilali korespondencyami, w formie przez ks. Sapiehę zaproponowanej. Rozesłanie gotowych formularzy do delegatów ułatwi im korespondencyą i usunie braki, na które obecnie się uskarzamy.

P. Krogulski. Skutku to nie odniesie, mam nieraz sposobność słyszeć na polowaniu z ust leśniczych, rządców bardzo wiele ciekawych szczegółów tyczących się polowań i ciekawych spostrzeżeń. Niechajby Panowie posiadający dobra i wielkie polowania polecili swoim nadleśniczym, leśniczym i rządcom, aby każdy bodaj w raporcie swoim

---

[1]) Z dyskusyi się okazało, że głównie wytykano ubytek korespondencyi i wykazów polowań, których Redakcya stworzyć nie może; czystości i poprawności języka, doborowi artykułów, w ogóle treści i formie nie przyganiano. Publicystyka krajowa i zagraniczna, głos publiczny, nie odmawiają Redakcyi „Łowca“ pochlebnego uznania, samo wreszcie dziesięcioletnie istnienie tego Pisma bez ofiar i subwencyj świadczy wymownie o wartości jego. Szanowni członkowie Tow. łowieckiego niesprawiedliwem tem orzeczeniem, powtórzonem przez Pisma krajowe, zamiast ułatwić, utrudnili Redakcyi „Łowca“ dalsze działanie.

[2]) Nieprawdziwe twierdzenie, Redaktor usprawiedliwiał się pospiechem w korrekcie, jak świadczy „Łowiec“ z r. 1886 str. 53 w Kronice: Sprostowanie, więc nie było powodu do takiej przeciw niemu wycieczki.

[3]) „Łowiec“ z r. 1887 wykazuje cztery korespondencye p. Żurowskiego (str. 43, 58, 106, 187), które Redakcya z tem większą przyjęła wdzięcznością, iż zdawały się one świadczyć o zatarciu w pamięci dawnego nieporozumienia.

do właściciela zaznaczył uwagi, co spostrzegł. Byłyby to nieraz cenne dla „Łowca“ uwagi. Inaczej trudno wydobyć co, nikomu się po prostu nie chce pisać.

Prezes Roman hr. Potocki. Ponieważ wniosku żadnego nie było, przeto przyjmujemy te uwagi, jako życzenia Ogólnego Zgromadzenia i będziemy się starali, aby były wykonane. Przystąpimy do wyboru członków Wydziału w myśl statutu występujących. Na skrutatorów zapraszam pp. Żurowskiego i hr. Wodzickiego. Zanim pp. skrutatorowie obliczą głosy, przystąpimy do dalszego przedmiotu porządku dziennego: Wnioski członków. Głos ma p. hr. Stadnicki.

Hr. Stadnicki. Chciałem poruszyć jedną sprawę i sądzę, że uda się nam uprosić Wydział, aby tej sprawy był orędownikiem i w wielu wypadkach mógł być pomocnym pojedynczym myśliwym. Mam tu na myśli sprawę dzierżawy polowań w dobrach kameralnych. W ostatnich czasach zapanowała nie tajna nam tendencya, że polowania kameralne usuwają się nam z ręki. Dotąd bardzo wiele towarzystw myśliwskich posiadało dzierżawę takich polowań i znakomicie się z tego wywiązywało. Naprzód zwierzyna była w odpowiedni sposób szanowaną, ustawa łowiecka wszędzie stosowaną, a przytem była przyjemność nielada, mieć rewiry obfitujące w zwierzynę, której w naszych mniejszych kniejach nie posiadamy. W ostatnich czasach doszło do mej wiadomości, że te polowania z trudnością będzie uzyskać, albowiem muszą być polowania zarezerwowane na wypadek, gdyby osobistości z najwyższych sfer chciały tej przyjemności doznać i polować w naszym kraju. Nie przypuszczam jednak, aby wszystkie rewiry kameralne do tego celu służyły i pewna ich liczba nie miała być nadal wydzierżawianą. Dlatego sądzę, że może nie od rzeczy będzie poruszyć tę sprawę i wyrazić życzenie w formie wniosku do Wydziału, aby w pojedynczych wypadkach, kiedy pojedynczy członek uda się do Wydziału z prośbą o poparcie w tej sprawie, nie odmówił takowego.

Hr. Zamojski. Popieram najmocniej ten wniosek a sądzę, że każdy, ktoby wydzierżawiał takie polowanie w dobrach kameralnych, przyjąłby warunek, iż gdyby ktoś z członków Dworu zażądał polowania, natenczas odda te knieje do polowania. Gdyby istotnie Dwór chciał polować, to w takim wydzierżawionym rewirze więcej znajdzie zwierzyny niż tam, gdzie rewiry pozostają w ręku zarządów leśnych rządowych, gdzie w obec wielkiej pracy a małego w stosunku do obszaru personalu nie ma ani dozoru, ani starania o zwierzynę, ani też żywienia zwierzyny w czasach ciężkich śniegów, mrozów itd. Jeżeli chodzi o ten wzgląd, aby Dwór mógł tu zjeżdżać i polować, to sądzę, że tam, gdzie polowania są wydzierżawione, są one lepsze niż tam, gdzie są w ręku administracyi domen i lasów. Należę do towarzystwa, które wydzierżawia kilka rewirów kameralnych; otóż mniemam, że na owych kilka dni, na które Dwór przybędzie, każdy odstąpi najchętniej dzierżawiony rewir do użytku Dworu. W tym względzie popieram wniosek p. hr. Stadnickiego.

Prezes Roman hr. Potocki. Zapisałem się do głosu w tej sprawie. Pojmowałem wniosek p. hr. Stadnickiego w tym kierunku, ażeby umożliwionem było wydzierżawienie polowania w owych rejonach, których nie zastrzeżono dla Dworu.

Dyr. Glanz. Skarb Państwa posiada w naszym kraju 46 okręgów myśliwskich; z owej liczby wyeliminowano pięć czy sześć okręgów, które zastrzeżono dla członków Dworu. Jest to więc ograniczenie bardzo skromne.

St. hr. Stadnicki. Istotnie rozumiałem wniosek mój tak, jak go szanowny nasz Prezes przedstawił. Nie myślę o owych okręgach, które są wykluczone, lecz chodzi mi o to, aby te okręgi, które nie są wykluczone, dostępne były dla tych, którzy się o nie starać będą, a nie wątpię, że Prezydyum Towarzystwa i Wydział będzie mógł być niejednemu z nas w tym kierunku pomocnym.

Prezes Roman hr. Potocki. Podam pod głosowanie wniosek St. hr. Stadnickiego, który opiewa: „Wydział Towarzystwa będzie dokładał starań, o ile to w jego możności będzie, by polowania w dobrach kameralnych niezarezerwowane wydzierżawiane były członkom Towarzystwa, którzy się w tej mierze do Wydziału o poparcie odniosą. Kto się z tym wnioskiem zgadza, zechce rękę podnieść. (Większość). Jest przyjęty. Upraszam pp. skrutatorów o ogłoszenie wyniku głosowania na członków Wydziału.

Sprawozdawca p. hr. Wodzicki. Głosujących 22, absolutna większość 12.

Głosów otrzymali:	Czarkowski	18
	Komorowski	18
	Łoziński	21
	Władysław Rieger	21
	Stefan hr. Zamojski	12

Prezes Roman hr. Potocki. Wszyscy ci Panowie są więc wybrani. Na ostatnim punkcie porządku dziennego są wnioski członków. Żąda kto głosu?

P. Rogier hr. Łubieński. Proszę o głos.

Prezes Roman hr. Potocki. R. hr. Łubieński ma głos.

Rogier hr. Łubieński. Słyszałem z ust hr. Szembeka, że Wydział nie ma dość czucia z delegatami Towarzystwa, wskutek czego daje się nieraz czuć brak materyału do „Łowca“. Właśnie mam kalendarz „Łowca“ na rok 1888 pod ręką i ze spisu delegatów Towarzystwa na stronicy 109 umieszczonego przekonuję się, że spis ten nie zupełnie zgadza się z faktycznym stanem rzeczy. Wprawdzie nie znam wszystkich delegatów w tym spisie wymienionych, jednak znajduję, że niektóre daty tam podane przy niektórych nazwiskach są mylne; tak dla grybowskiego powiatu jest delegatem p. Gorajski August; delegat ten o ile mi wiadomo mieszka w powiecie krośnieńskim, a w grybowskim powiecie bywa bardzo rzadko. W powiecie rzeszowskim ma być delegatem p. Franciszek Jędrzejowicz; o ile mi wiadomo, nigdy w tym powiecie nie mieszkał i tylko raz albo dwa razy bywa. Tak samo ma się rzecz z powiatem trembowelskim. Wskutek tego ośmielam się postawić wniosek, aby szanowny Wydział Towarzystwa zechciał przejrzeć tę listę i zechciał postarać się o takich delegatów, którzy faktycznie w tym powiecie mieszkają, a łowiectwem i polowaniami specyalnie i osobiście się zajmują. Innych delegatów nie wymieniam, sądzę jednak, że wiele innych dat podanych w owym spisie będzie niedokładnych.

Prezes Roman hr. Potocki. Podam ten wniosek pod głosowanie. Kto go przyjmuje, raczy rękę podnieść. (Większość). Jest uchwalony. Czy żąda jeszcze kto głosu? (Nikt). Gdy nikt więcej głosu nie żąda, a porządek dzienny wyczerpany, nie pozostaje mi nic, jak podziękować szanownym Panom, żeście byli łaskawi przybyć na dzisiejsze Zgromadzenie. Posiedzenie zamknięte.

(Koniec o godzinie 2 minut 30 po południu).

Redaktor: Józef Łoziński.

Adres: Władysław Zontak ul. Teatralna Nr. 18.

I. Związkowa Drukarnia we Lwowie.